№ 47. Warszawa, dnia 6 (18) Listopada 1876 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Treść Numeru: Kronika zagraniczna J. I. Kraszewskiego. — Zaklęta księżniczka, nowella przez J. I Kraszewskiego (dalszy ciąg) — Wrażenia z włóczęgi po obczyznie (dalszy ciąg). — Raguza, Cattaro i Czarnogórze. Wycieczka do obozu powstańców hercogowinskich. — Korespondencya z Krakowa. — Przegląd literacki. **W dodatku:** Roche-Noire, przez Maryę Maréchal, przekład K. P. (dalszy ciąg).

KRONIKA ZAGRANICZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

Wszyscy Święci. — Pogoda.—Dziennikarskie nowalije.— Francesconi i Gerstaecker. — Hartmann. — Wpływ piśmiennictwa na życie. — Teorya romansu i powieści Keitera. Coś o niej i o powieści. — Stare baje. — Próbka powieści z XIII wieku Gesta Romanorum. — O dobrym słudze. — Opowiadania dawne i ich dzieje Auerbacha.— Po latach trzydziestu. — Wiejskie historye.— O nich słów kilka. — Gutzkow. — Spielhagen. — Heyse tłomaczenie podróży Giusti.

Wszyscy Święci, do których grona należą także Serwacy, Pankracy i Bonifacy, i ci co przynoszą pogodę, i ci co obdarzają deszczem, i tacy co lód sprowadzają i drudzy co ciepłem odżywiają — mają dziś dzień swój taki właśnie jak by się wszystkim patronom chciał przypodobać. Było słońce, zrobiło się ciepło, powiało chłodem, pruszyło śniegiem, skropiło deszczem... wszystko to razem tak oddziaływa na nieszczęśliwą ludzką naturę, która się wpływowi otaczającej atmosfery oprzeć nie umie, iż się bardzo lękam o list mój, by w nim nie odbiły się fenomena meteorologiczne. Tymczasem korespondent, jak artysta dramatyczny, musi swe osobiste wrażenia — najmniej się popisując z niemi, zostawić na stronie, a patrzyć obowiązku i nie nudzić egotyzmami... Ale czasem — czasem, kochani i łaskawi czytelnicy!! wszak mu się jakaś fantazyjka przebaczyć powinna?? nieprawdaż?... Wiatr z deszczem obija resztę liści na drzewach... ostatki zieleni i życia — jakże tu nie być wrażliwym?...

W dodatku, takie brzydkie rzeczy przynoszą dzienniki. Nie mówię już o berlińskich, zasypanych historyami ulicznemi, które wstręt i obrzydzenie wzbudzają. Wiedeńskie także pełne są procesów i zbrodni. Wiecie już zapewne o historyi tego Francesconi, awanturnika, który ściągnąwszy w sposób bardzo przebiegły listonosza do mieszkania, zamordował go okrutnie. Niestety — takich morderstw trafia się niemało, bo żądza używania a wstręt do poczciwej pracy z każdym dniem rosną, a moralne zasady przestały być dla życia skazówką. Byłaby więc ta nieszczęsna historya Francesconiego niemal powszednią, gdyby w niej szczegół jeden nie zasługiwał na szczególną uwagę.

Uczynił ktoś zaraz wzmiankę o tem, że podobnie wykonana zbrodnia, zabicie listonosza, znajduje się opisaną w jednej z powieści Gerstaeckera. W posiadaniu Francesconiego znalazł się na potwierdzenie tego postrzeżenia, właśnie tom ten Gerstaeckera, w którym jest opis wypadku. Stanowczo więc można twierdzić, że zbrodniarz z romansu się nauczył jak ma spełnić morderstwo.

Nie jestże to zastraszającem i wiele dającem do myślenia dla tych, którzy szukają treści do swych opowiadań — *spannend* — w ulicznym kale, w kryminałach, w tych warstwach i tych sferach społecznych, od których oko się odwraca jak od obrzydliwych chorób i strasznego kalectwa!! Wszakże w Niemczech i we Francyi mamy całą taką literaturę — kryminalną — którą się karmią szczególniej czytelnicy Lesecabinetów, ci co czytają nie dla wdzięku opowiadania i artystycznych piękności ale dla wzruszeń i wrażeń. Gerstaecker nie żyje ale piszący dziś i niezdrowy pokarm przynoszący tłumom, jakże powinni być rozważni, ażeby nie mieć na sumieniu zbrodni, których mogą się stać mimowoli wspólnikami!

Mieliśmy taki proces w Berlinie, w którym zabójca przyznawał się do wpływu filozofji Hartmann'a, jej przypisując że zabił przyjaciela. Teraz Gerstaecker występuje w sprawie Francesconiego. Smutne to — ale nauczające...

Powieść wprawdzie musi częstokroć malować różne stany społeczeństwa, różne jego warstwy, najrozmaitsze psychologiczne fenomena — lecz przynajmniej ci których pisma przeznaczone są do wielkiego rozpowszechnienia, jakże oględni być powinni w wyborze zadań swoich. Interes opowiadania, warunki obudzenia gorącego zajęcia, fałszywie bywają pojęte, szczególniej przez tych, którym nie staje siły do nadania barwy temu co piszą, do zainteresowania powszedniemi życia wypadkami. Właśnie ci autorowie, którym brak ożywczego daru, posługują się rozbujałą wyobraźnią i obrzydliwym materyałem, właśnie takie produkcye jaskrawe a nieudolne smak psują w czytelnikach, i pod względem artystycznym są najszkodliwsze.

Literatura powieściowa rozrosła się ogromnie, można protestować przeciw temu, ale to jest fakt, który ma przyczyny swe i mieć musi korzyści. Jest to forma w której nasza spiesząca się epoka, pokarm dla ogółu chce mieć przysposobionym — są to piśmiennictwa „kuchnie tanie“. Z tem wszystkiem kuchnie co karmią i truć mogą. Dzięki Bogu, literatura nasza nie zeszła jeszcze do rynsztoka czerpać, mając obficie czystszych źródeł — ale — ostrożnie z tłomaczeniami owych „spannend“ powieści, które Francesconich rodzą.

Dotąd w historyach i teoryach literatury, teorya romansu i powieści nie była prawie dotkniętą, już dla tego że romans do żadnych się nie chciał stosować prawideł i przybierał formy najrozmaitsze, już że... pogardzano nieco i z wysoka patrzano na tego dorobkiewicza. Tymczasem zyskał on prawo obywatelstwa i rachować się już z nim bądź co bądź — potrzeba.

Otóż tedy niemiec jeden — wystąpił z próbą teoryi romansu, nowelli i wszelkiego powieściowego towaru. Autorem tym, jest p. H. Keiter, a oryentującą przedmową zaszczycił to dzieło literat p. F. Kreyssig. I wyszła ta książka tam gdzie ich dotąd mało wychodzi, zkąd ich mało przychodzi — w Paderbor-

nie... Ledwieśmy mieli czas rozciąć kartki i spojrzeć w oczy nowemu prawodawcy... Dziś zaledwie możemy dać wam pobieżnie treść dziełka, które się zajmuje romansem w ogólności, ideą, charakterami, treścią a czasem i miejscem, budową akcyi, dalej — formą w ogóle, samoistnością, oryginalnością pisarza, objektywnością w malowaniu świata zewnętrznego, w pojęciu czasu — czynnością, rozmowami, opowiadaniem i stylem... Jest tu wiele rzeczy dobrych i trafnych — ale — ale autor zbytecznie niemcem pozostał i zbyt się zamknął w powieści współczesnej. Dużoby więcej powiedzieć można, a wiele z tego co Keiter mówi, pisać nie było warto. Przywodzone też przykłady nie są najszczęśliwsze. Romans i powieść mają swą historyę, poczynają się w Grecyi i na Wschodzie, rozwijają i zastosowują do potrzeb społeczności, od greckiego Helijodora, od sławnych *Gesta Romanorum*, średniowiecznych, od Tysiąca Nocy do Walter Scotta i V. Hugo... co za przemiany i jak ciekawe przerabianie się formy! A noweliści włoscy starzy, poprzednicy i następcy Bocacyusza... których tak jak nikt nie zna — co dostarczyli tyle wątków Shakespearowi. Niemiecki teoretyk—całą historyę tę pominął prawie milczeniem, a możnaż teoryę pisać, historyę ignorując?

Wspomniałem wyżej „*Gesta Romanorum*“ książkę zapomnianą, którą, gdybyście ją przypadkiem na półce w biblijotece spotkali, usunęlibyście pewnie jako starą historyę rzymian. Tytuł jest zwodniczy. Jest to po prostu zbiór powiastek osobliwych, któremi się bawiono w wiekach średnich, i z których nie jedna przez pośrednictwo włoskich nowellistów, przeszła do Shakspeara, nie jedna odbiła się w dramacie i romansie późniejszych. Dziś — tego osobliwego, ciekawego zbioru nikt nie zna i śmiesznie jest może że tu o nim mówimy. Idzie mi wszakże o to abym nasz XIX w. obronił trochę z tego że się powieściami zabawia. Rozrywano się niemi zawsze, nawet po klasztorach, a do tych historyjek jakaś dusza pobożna, z obawy aby niektóre z nich, trochę swawolne, nie gorszyły, podorabiała wykłady moralne, często dziwne... Z tego zbioru i z nowellistów starych włoskich, także dziś mało komu znanych, ileż to czerpano później! Z ilu temi opowiadaniami spotykali się mimowoli może, ci co chcieli koniecznie coś nowego wymyślić.

Można się z nich przekonać jak zupełnie nowa treść, na świecie w którym wszystko się powtarza— jest prawie niepodobną... jak mało zależy na fantastycznej treści a wiele na formie, na życiu jakie jej nadaje wykończenie, odżywienie, barwa... Tacy więc Gerstaeckerowie et C-ie co się siłą na osnowę naprężoną, bodaj kosztem materyału jaki użyją — próżno się zmagają gdy tego rusztowania nie mają czem przykryć.

Ale dosyć teoryi, miałbym wielką ochotę obdarzyć was jedną powiastką z *Gesta Romanorum*, ażebyście mieli wyobrażenie, czem się pra-pradziadkowie zabawiali? Choćby się wydawca podąsał, nie można się oprzeć pokusie... A zatem.. poczynajmy, tłomaczę co do słowa (cap. 17).

„Cesarz jeden prawem postanowił, że ktobykolwiek służyć mu chciał, otrzyma u niego służbę, trzy razy zastukawszy do bramy, po czemby poznać dał, że potrzebuje służby. Otóż trafiło się że podówczas, był w mieście Rzymie, ubogi człek, któremu imię było Guido. Ten zasłyszawszy o prawie owem, myślał sobie: Ubogi jestem i nizkiego urodzenia, lepiej mi będzie służyć i bogactwa się dorobić, niżeli tak zawsze żyć w niedostatku. Zbliżył się tedy ku pałacowi, trzy razy wedle postanowienia we wrota stuknął, odźwierny natychmiast drzwi odemknął i wprowadził go. Ten padłszy na kolana, cesarza pozdrowił. Rzekł do niego cesarz: powiedz mi, mój kochany, czego żądasz? Ten na to. O służbę proszę, panie. Odpowie na to cesarz: Jakąż byś służbę przy mnie spełniać potrafił. On na to: Panie, do sześciorakiej służby jestem zdolny. Pierwsza służba moja, potrafię osoby pana mojego dzień i noc strzedz, łoże mu przygotować, napój podać, nogi obmyć. Druga moja służba, umiem czuwać, gdy drudzy zasypiają, a spać gdy czuwają inni. Trzecia służba, umiem napój dobry skosztować i wedle smaku go osądzić. Czwarta, umiem zapraszać ludzi na uczty, tak aby zapraszający cześć z tego odniósł. Piąta, potrafię ogień nanieść bez dymu, i ogrzać nim przytomnych. Szósta służba moja, umiem ludzi zaprowadzić do ziemi Świętej, tak aby zdrowi wrócili. Rzekł na to cesarz: piękne są te usługi i wielce po żyteczne być mogą. Zostaniesz więc przy mnie, a naprzód chcę cię doświadczyć około strzeżenia ciała mojego. Będziesz więc osoby mej pilnował roku tego. Rzekł on na to: Panie, gotów jestem, woli twej zadosyć uczynić. A więc Guido każdej nocy jak należy łoże uścielał, prześcieradła prał i co nocy je przemieniał. U drzwi izby uzbrojony legał, przy sobie mając zawsze pieska małego szczekliwego, a jeśli się zdarzyło że usnął, a nadszedł kto z nagła, szczekaniem psiaka był zbudzony. Dwa razy w tydzień nogi pańskie obmywał i we wszystkiem tak roztropnie i pożytecznie postępował, że w nim żadnej ułomności nie znaleziono, a cesarz go za wszystko chwalił. Po upływie roku podkomorzym go uczynił, aby spełnił służbę drugą, to jest: Umiem czuwać. Postanowiony tak Guido przez całe lato się trudził i czuwał i wszystko potrzebne przygotował na zimę. A gdy zima nadeszła i inni zaczęli czuwać i pracować, on odpoczywając zasypiał, tak że spełnił drugą obietnicę swoją: Umiem czuwać, gdy inni zasypiają.

(d. n.)

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Widziany na ulicy, profesor Filipowicz wyglądał równie pociesznie jak w pokoju... Spieszył się idąc, niewiele widział, potrącał często, niekiedy zdawało mu się minąwszy że kogoś poznawał i kłaniał się gdy już go nie było... Czasem wyrwało mu się słowo głośne, jakby jakiegoś monologu urywek — to znowu śmiał się do siebie... Na czerwonej do zbytku twarzy, przybrany uśmiech jakiś, krążył prawie ciągle...

Na Miodowej ulicy wpadł do pierwszej cukierni, potykając się na progu, zgubił kapelusz, który mu się między stojących potoczył, pobiegł za nim, potrącił kilku, przeprosił, zaczął się śmiać bardzo głośno, kazał sobie dać wódki, w kieszeni poszukał pieniędzy i rozsypał je po podłodze... nowy kłopot i śmiech nowy—pięciogroszówka zaleciała wszparę...

Narobiwszy hałasu i ambarasu, wyrwał się z paletocikiem w ręku na ulicę, zapomniawszy laski, wrócił po nią i dopiero jakoś opamiętawszy się, nieco spokojniej, obciągnąwszy kamizelkę, poprawiwszy chustki, której węzeł zwieszał się za ucho, poszedł dążąc do Saskiego ogrodu.

Zbliżając się doń, kilka razy stanął jakby dla namysłu i powziąwszy stałą determinacyą puścił się ku cukierni.

Zdala już dojrzał go stojący jakby na czatach młodzieniec, strojny, ładny, zręczny i paniczykowaty... i począł iść na spotkanie. Mógł mieć lat dwadzieścia i kilka. Strój dowodził zamożności, był bowiem aż do zbytku wykwintny i przesadnie bijący w oczy. Jaskrawa krawatka, wspaniała laska, breloki, fryzura... podwójna kamizelka i wyszywane buciki, oznaczać się zdawały zakochanie w sobie i zbytnią cześć dla własnych powabów.

Twarzyczkę miał wcale ładną ale nie męzką, pieszczoną, zbyt różową i delikatną... W czarnych oczach więcej było ognia, namiętności niż inteligencyi. Wargi też jakby niewieście, uśmiechnięte, wydatne, zmysłowe usposobienie i temperament zdradzały.

Gdy profesor go ujrzał, zaczął niemal biedz, a dopadłszy pochwycił za rękę i pociągnął z sobą na ławkę...

— No cóż! co? pytał młodzieniec.

— Ale czekajże pan, kochany Prezesowiczu — jak się zowie — odetchnę, zaraz.

Zdjął kapelusz i wachlować się nim zaczął.

Młodzieniec oka z niego nie spuszczał.

— O jedno, jak się zowie, proszę, błagam, zaklinam — odezwał się Filipowicz — o jedno. Proszę być spokojnym, bo kiedy my, moja żona, największa dyplomatka pod słońcem i ja — ja też—coś umiem, bierzemy interes w ręce nasze to dosyć...

— Ja nie wątpię, rzekł młodzieniec — ale...

— Żadnego, ale — jak się zowie—żadnego ale — przerwał profesor.

— Cóż, Mecenas? pytał młody panicz.

— Mecenas! Mecenas! Sfinks! z przeproszeniem— oho! ja go znam! my go znamy — spytaj pan Prezesowicz mojej żony, co o nim trzyma. To ona go Sfinksem nazwała... Sfinks milczy! Nic dobyć! Ja mu wprost powiedziałem że ją nazywają *księżniczką*... ale tu rzucił się — jakbym mu na nagniotek nastąpił... Z niego nic nie dobyć...

— Mówiłeś mu pan o mnie? spytał młody.

— A jakże.. wysłuchał — ale zaoponował — zdaje się że on to zreferuje gdzie należy... tymczasem *patientia!* już kiedy moja żona wzięła interes w swoje rączki — możesz pan być spokojnym.

— Ale jabym się czegoś napił? Ckli mnie—wszak to około południa.

Młodzieniec ruszył się z ławki, i, chociaż likwor na Miodowej ulicy połknięty, zajedzony pasztecikiem od profesora czuć było, pospieszył napoić go i nakarmić, przy czem i sam łakomie zjadł ciastek kilka...

Wyszli wprędce nazad do ogrodu... Młodzian dobył cygara, które zapalono.

— Panie Rabsztyński—odezwał się Filipowicz — jedno, jak się zowie — przypominam panu, z flegmą, zwolna, z zaufaniem... a dojdziemy do celu..

Mam to najmocniejsze przekonanie iż to jest księżniczka w istocie... Bywają okoliczności że nawet prawowite dzieci muszą się do pewnego czasu chować i ukrywać pod zmyślonemi imionami, jak się zowie. Czyta się o tem nie raz... Ja ją mam za *księżniczkę*, żona moja, guwernantki — pan... zdradza ją krew, panie dobrodzieju, zdradza, jak się zowie, dystynkcya wrodzona, zdradza wreszcie, ten zbytek z jakim ona jest utrzymywana... Salopa z futrem — moja żona powiada — dwa tysiące złotych za nią dać — mało, a suknie — a bielizna... a pierścionki...

Począł się Filipowicz śmiać mocno.

— Miałeś pan nos — jak się zowie...

Młodzieniec zaczął się też śmiać, nos mu pochlebił — zapatrzył się w pień drzewa i rzekł:

— Pan mu mówił — Rabsztyński?

— Mówiłem! a jakże — podchwycił rączo Filipowicz — uczyniło to na nim wrażenie — nie mogę inaczej powiedzieć — ale to Sfinks... z niego nic nie dobyć...

— Cóż w ogóle powiedział?

— W ogóle i w szczególe — mówi... referować będę — a nim się rzeczy wyświecą, wyjaśnią, wyklarują — nie chcę o tem słyszyć... Naturalnie że ja mu dla zaspokojenia zaręczyłem iż pan jej nie widujesz już wcale... (tu się rozśmiał klepiąc po kolanie młodzieńca). Przy mojej żonie, w obec świadków — to się nie liczy... w tem nie ma nic zdrożnego...

Młodzieniec dał dwa cygara profesorowi, który je nic nie mówiąc utopił w kieszeni...

— Potrzeba będzie w tych dniach zażyć — jak się zowie, szczególnych ostrożności — widzi pan, panie Prezesowicz, myślę że szpiegować będą... Lękam się... niech się pan nie okazuje tak często...

Rabsztyński rozśmiał się...

— Ja też suponuję, szepnął, że ona jest książęcego rodu.. Przypuszczam że z bocznej linji, że coś tego — że nazwiska mieć nie będzie, albo urwane jakieś, niekompletne... jak dawniej robiono z Ogińskich, Gińskich, z Sapiehów, Piehów i t. p... ale co się tyczy fortuny — ta pewna.

— O! ta pewna! zaśmiał się profesor... to się okazuje z tego jak ją utrzymują, a kłamią że chcieliby niby na nauczycielkę sposobić! Jak się zowie! Co? gdzie?

Gdy tak rozmawiali — na zegarze gdzieś wybiły trzy kwandranse na pierwszą — profesor spojrzał na swój kieszonkowy i zerwał się jak oparzony biedz do domu.

— Żegnam kochanego Prezesowicza bo mnie tam żona czeka, a jest nieubłaganą co do godzin...

— Ja pana profesora przeprowadzam...

— Ale czy to będzie bezpiecznie?

— Po drodze jeszcze raz wódeczki? odpowiedział Rabsztyński.

Profesor się ogromnie rozśmiał.

— No — cóż robić! chodźmy razem, chodźmy.

Jakoż poszli, wstąpili jeszcze do cukierni, profesor wyszedł z niej zarumieniony mocno, i uściskawszy młodego przyjaciela popędził do domu na Nowy Świat.

Pensya pani Filipowiczowej, znajdująca się w dwóch piętrach bardzo poważnie wyglądającego domu, nie nazywała się jednak tem nazwiskiem, ale dawną firmą wdowy pani Montant, która wyszedłszy za mąż za owego Filipowicza w widokach tylko administracyjnych—zaślubiła go niby morganatycznie, zowiąc się zawsze urzędownie panią Montant i pensyi niezmieniając dobrze już znanej denominacyi.

Nie chcemy odsłaniać tajemnic małżeńskiego pożycia — ale godzi się napomknąć, że choć Filipowicz akomodował się żonie z uległością niezmierną (kasa była pod jej kluczem), choć był dla niej z uwielbieniem, czcią i miłością podniesioną do potęgi najwyższej — pani Montant wcale z niego nie była zadowolnioną. Był roztargniony, papla, bez taktu — i choć w potrzebie dawał w niższych klasach lekcye wszystkiego co umiał i czego nieumiał, nie odpowiadał ideałowi jaki oddając mu rękę stworzyła sobie wdowa.

Widząc obok siebie to małżeństwo na pierwszy rzut oka, tłomaczył się jego stosunek. Trudno sobie wyobrazić coś poważniejszego, uroczystszego, więcej dystyngowanego nad panią z Villamarinich de Montant... O Villamarinach ona sama mówiła iż byli gałęzią panującego, książęcego w jakichś Włoszech domu. Mąż pierwszy zwał się wprawdzie Montant bez *de*, lecz tylko przez skromność — nie będąc na odpowiedniem urodzeniu stanowisku...

Pani Eliza z Villamarinich de Montant *secundo voto* Filipowiczowa... miała około lat czterdzieści kilka, ale zachowała się mimo losu przeciwności wspaniale... Trochę otyła, co jej dodawało powagi, twarz miała pełną, z podbródkami rasowemi, oczy wypukłe, rączkę śliczną... Ubierała się ze smakiem, i profesorowie młodzi, którzy na pensyi lekcye dawali, doznawali niewymownych tentacyi, gdy na nich nieco zmrużone skierowała oczy, oczy które tyle mówiły że aż strach... ale osoba była surowa nader, i choć grzeczna wielce dla młodych, niedopuszczała ich nigdy nawet do poufalszej rozmowy... Królewskie sobie dawała tony.

Obok niej ruchawy Filipowicz ledwie śmiał stanąć... a co było najnieprzyjemniejszem dla niego, iż nieustannie poprawiała go, monitowała, dziwiła się jego niezręczności, brakowi zastanowienia, i mówiła o tem głośno... zdając się mieć upodobanie w okazywaniu niezmiernej wyższości swojej. Poczciwy, skromny profesor nie obrażał się tem, zbyt wielbił tę żonę, jakiej nigdy w życiu podobnej się nie mógł spodziewać, zbyt był przejęty wielkością rodu Villemarinich, aby śmiał zostać rebellizantem. Całował w ręce i przepraszał — cieszył się wszystkiem i nie miał pretensyi najmniejszej kiedykolwiek, w czemkolwiek mieć słuszność.

Zbliżając się do bramy domu, profesor starał się już poskromić rozdrażnienie w jakie go wprawiły, trzy jeden po drugim pochłonięte kieliszki likworu. Wprawdzie był oswojony z napojami, i te nie działały nań zbyt porywczo, krzepiły go, nie odejmując mu władz umysłowych — jednakże pani Eliza miała dar nadzwyczajny rozpoznawania w nim cokolwiek podnieconych funkcyi żywotnych. Spojrzawszy nań, ruszała ramionami i szeptała tylko dwa słowa, które on rozumiał.

— A już!

Często zaprzeczał śmiało.

— Ale nie.

Na co pani z Villamarinich tylko odpowiadała:

— Ja mówię.

Na to — Ja mówię, tonem stanowczym wyrzeczone — nie było repliki.

I teraz profesor ułożył swą postać, chustkę ściągnął z buntowniczej pozycyi, jakiej zwykła była przybierać, idąc węzłem pod ucho, kamizelkę gwałtownie wyrywającą się do góry zmusił do zajęcia właściwej roli i zakrycia szelek... wyprostował się, pogładził rzadkie bakenbardy, chustką otarł twarz, i krokiem mierzonym wpadł na górę, gdzie już szmer i śmiechy panien zwiastowały, że lekcye były skończone i pora objadowa się zbliżała.

Jak w ulu brzęczało na górze... Minął jednak te pokoje Filipowicz i udał się wprost do pokoju żony.

Siedziała ona w oknie, sparta na ręku jakby oczekując na niego, z uwagą mu się przypatrzyła, gdy ją zaczął witać pokornie — i szepnęła:

— A już...

— Ale nie — jak się zowie.

— Ja mówię.

Filipowicz umilkł i dodał tylko:

— Spotkałem Rabsztyńskiego, to znowu trudno nie ludzkim być.

— Cóżeś zrobił?

Sprawozdanie wymagało pewnego zastanowienia. Przyznając się do tego że nic lub tak jak nic nie zrobił, Filipowicz wiedział że zasłuży na epitet nieprzyjemny; mówić całkowitą prawdę nikt go nie mógł zmusić — postanowił, wedle swego wyrażenia, lawirować.

— Ja idąc do tego Borusławskiego, dobrze wiedziałem co mnie czeka — rzekł — kuty — wyga — jak się zowie, tylko mu w oczy patrz... i zgaduj gdzie skoczy. Ale też zażyłem go z mańki... i — na swem postawiłem.

— Na czem?

— Że oto tego — objawiłem mu, jak się zowie, staranie się i miłość Rabsztyńskiego.

— A on na to...

— Ignorować chce... a naturalnie, jak się zowie, będzie referował wyżej!

Z całego jego znalezienia się, to tylko mogłem widzieć jasno, że nie myliła się moja królowa i pani — że to istotnie... książęce dziecko... familji wielkiej... do czasu się ukrywające...

— Ja się nigdy nie mylę — zimno odezwała się pani z Villamarinich.

— Na tem się tedy skończyło, iż wszystko w zawieszeniu... ale mu dałem słowo, iż kawalera dopuszczać nie będziemy i że panna jest konsygnowana...

W milczeniu głowę spuściła pani.

— Cóż ten biedny Rabsztyński... spytała po chwili.

— A cóż! prosiłem go o rezygnacyą... o cierpliwość...

Chwilkę milczenia zajęły śmiechy panienek wybuchające w sąsiedniej sali, pani z Villamarinich wstała, otworzyła drzwi tylko, i nic nie mówiąc — popatrzała — wszystko ucichło.

Wprawdzie natychmiast po drzwi zamknięciu śmiano się znowu, ale troszeczkę ciszej.

Filipowicz tymczasem wody się napił dla zneutralizowania w sobie spirytusu, który zaczynał mu się dawać czuć nieco.

— Czy nie obiecał tu być Borusławski? spytała żona.

— Ale ty go, moja królowo, słusznie Sfinksem nazywasz, z właściwą sobie genijalnością, bo ty jesteś genijalna — co z niego dobyć?

— Sfinks! powtórzyła pani... Cóż przecie mówił.

— Nie chce o niczem wiedzieć—ignoruje... Niezrozumiał mnie z początku i wziął to z tej strony jak gdybyśmy chcieli z tego powodu pozbyć się panny Tekli, i oświadczył że może ją odebrać.

— Ale bo ty zawsze!! jakże było można?

— A! nie ja winienem... on! tępy jest, tępy! alem mu wytłomaczył przecież... Zostają rzeczy jak były... o ile jednak — jak się zowie zrozumieć mogłem, Rabsztyński go nie zachwyca... Oni wyżej pewnie dla niej partyi szukać myślą. Ho! ho!

— A jego by mi szkoda było — odezwała się pani z Villamarinich, chłopak miły, ładny, dobrze wychowany, zakochany...

— E! e! mruknął Filipowicz.

— Co to ma znaczyć?

— Gdyby nie to że mu się widzi księżniczką.

— Proszęż cię! Cóż to jest! ofuknęła przeciw samoistnemu pojęciu męża pani. Co to jest?

Ruszyła straszliwie ramionami a profesor począł patrzyć na swoje paznogcie jak najniewinniejszy w świecie człowiek — i zamilkł.

— On się w niej śmiertelnie kocha!

Nieśmiano zaprzeczyć... Uspokoiła się pani... Wtem na szczęście Filipowicza zadzwoniono, w sąsiedniej sali powstał hałas, śmiechy i bieganina. Dawano do stołu... Sama pani wyszła... Filipowicz skierował się — ku kredensowi obok jadalni.

Tu powoływały go jego funkcye administratorskie. Z kuchni przez kredens szły dania do stołu, tu się odbywała kontrola półmisków, a w razie ich niedostateczności, wypełnianie nowych środkami — administracyjnemi... Sosy odgrywały tu rolę bardzo ważną... innych tajemnic może się nie godzi wy-

jawiać, aby nie psuć czytającym apetytu... Tutaj także fabrykowało się piwo i tak zwane wino czerwone do wody, preparat nieszkodliwy i niekosztowny a elegancki; tu obliczały się także chleba kawałki i cukru...

Pani z Villemarinich znajdowała zawsze, że z żywotnych zadań wychowania kwestya stołu najtrudniejszą była do rozwiązania.

Dla tego zwracano na nią baczność szczególną, i pan Filipowicz był odpowiedzialnym za ład, oszczędność, dobór pokarmów i utrzymanie sług w rygorze, aby nie nadużywali resztek, których rozporządzenie do nich nie należało, a psuło ich moralnie.

Resztki schodzące ze stołu — natychmiast obejmował w swój zarząd administrator i rozporządzał niemi na korzyść własną lub na zapas; dla dalszego użycia w innej postaci.

Trafiało się że Filipowicz, nie umiejąc się oprzeć pokusie, zamiast oczekiwać na zwrot półmisków, ośmielał się z nich brać pierwociny, lecz gdy się to parę razy wydało i został pociągnięty do surowej odpowiedzialności, wolał z kucharką wejść w kompromis i kazać sobie na talerzu przynosić lepsze — kawałki.

Mogło i to się wydać zapewne — lecz kucharka była zbyt interesowaną o utrzymanie przyjaznych z nim stosunków, aby zdradzić go chciała. Pan Filipowicz też nie napierał się o przypuszczenie go do stołu, bo tu mu było wygodniej i swobodniej. Ze wszystkich jego a wielce urozmaiconych funkcyi administracyjnych, ta może była dlań najlżejszą i najwdzięczniejszą. Pełnił ją z namaszczeniem i powagą.

Wyższa dyrekcya naukowa i moralna była w rękach pani z Villamarinich, i do tego mieszać się małżonek nie miał prawa ani ochoty. Naczelniczka umiejąca rodzicom wykładać teoryą swą wychowawczą w bardzo pięknych i wiele obiecujących wyrazach, nie kłopotała się znowu o swój zakład zbytecznie w praktyce, i tradycye miejscowe z pomocą dwóch starszych guwernantek prowadziły go jakoś same. Pani szło głównie o to, aby wszystko było w porządku i żeby utrzymanie elewek jak najmniej kosztowało. Oszczędzano o ile możności na nauczycielach i metrach, w ciągu roku dając im tymczasowych zastępców, sam pan Filipowicz zresztą, mający reputacyą pedagoga znakomitego, dawał wszelkie możliwe lekcye i stawał z książką w zastępstwie kogokolwiekbądź.

Nauki szły, jak Bóg dał, ni lepiej ni gorzej niż gdzieindziej, rutyną, książkami, a kto chciał, uczył się, mimo utrudnień jakie znajdował na drodze.

Prawą ręką pani z Villamarinich była przyjaciołka jej dawna, panna Eufrozyna Pfirsich, nie młoda, brzydka, ospowata, roztropna, żywa, która w istocie rządziła tu całym domem, pani zostawując tylko reprezentacye i pozory panowania. Na przemiany podchlebstwem i surowością umiała władać naczelniczką, kadząc jej gdy tego była potrzeba, a w wielkich wypadkach udając że się podaje do dymisyi.

Środek ten nieochybny zapewniał jej zawsze zwycięztwo. Panny Eufrozyny obawiali się wszyscy, nie wyjmując samego Filipowicza, który był dla niej z nadzwyczajnem uszanowaniem i słuchał jej na równi z żoną.

Mocna w teoryi i głównie zawsze do wykładu jej przed rodzicami używana, naczelniczka pensyi, zajmowała się zresztą tylko kasą i ogólnemi rachunkami, wykonawczą władzę i nadzór (policyę) sprawował sam profesor, ministrem odpowiedzialnym była panna Eufrozyna.

Ona jedna znała swoje panny najlepiej i zapobiegała, aby starsze się nie emancypowały. Nie młoda, bardzo nie ładna, wyrzekłszy się już dla siebie marności światowych, skazana na marynowanie siebie i drugich w cierpkim moralności surowej wyskoku, panna Eufrozyna miała przyjemność łapać intryżki, zbierać plotki i powtarzać po cichu skandaliki z bruku miejskiego zbierane. Szczególniej awanturki miłosne mocno ją interesowały, ale o tych tylko z pomocnicą swą panną Hermancyą i z samą panią po cichu czasem poszeptać mogła. Dla panien była niezmiernie surową.

Przy stole obok prezydującej pani z Villamarinich siadała po prawej ręce panna Eufrozyna, po lewej panna Hermancya... Tuż przy pierwszej zabierała zwykle miejsce, już dłuższym na pensyi pobytem i opłacanemi kontrybucyami, wreszcie zagadkowem swem położeniem, wyróżniająca się, panna Tekla Sierocińska.

Była to dwudziestoletnia, pełnych form, ładna i świeża blondynka, ze łzawemi niebieskiemi oczyma, z białemi i starannie pielęgnowanemi rączkami, z przepysznym warkoczem złocistych włosów, z wyrazem zadumy i melancholji na czole... Nawet obok najstarszych panien zajmowała zupełnie odrębne stanowisko, nie należne już prawie do pensyi i będąc tu tylko na pół wyemancypowaną pomocnicą guwernatek. Miała też i swój osobny pokój a w nim własne pianino, i używała więcej daleko swobody niż inne uczennice, a na lekcyach zwykle kogoś zastępowała jako nauczycielka.

Wpatrując się w tę piękność zadumaną zawsze i najczęściej milczącą, trudno było odgadnąć charakter. Oczy mówiły mało, życie nie objawiało się zbyt gorąco, coś zamkniętego, tajemniczego, nosiła jak piętno na sobie.

(d. c. n.)

Wrażenia z włóczęgi po obczyźnie.

(Dalszy ciąg).

To prawdziwa niespodzianka, myślę sobie, tak prędko uwolnić się z nudów oczekiwania. Podróż będzie wygodna...

— A niech ta pan drzwiczki przymknie bo się otworzyły! woła pocztylijon w kamizeli, w rogatej czapce i z torbą przez plecy zawieszoną. Zamykam je i znowu mówię do siebie:

— Karecisko wprawdzie stare ale obszerne a konie jakoś...

— A niechże pan drzwi zamknie, woła znowu pocztylijon.

Zamykam powtórnie, trzaskam niemi raz drugi, probuję, stoją jak mur — dalej zatem do przerwanej rozmowy.

— Konie choć niepokaźne, ale biegną szparko, mówię sobie. Do T. przyjadę o dziewiątej rano, pozostałe pięć mil do celu wyprawy, przelecę w tyleż godzin, najpóźniej zatem o piątej po południu powinienem być na miejscu. Prześlicznie mi się udało...

— A! zamknięte tam drzwi u karety! przerywa po raz trzeci woźnica, bo jak wjedziemy w bramę, to się oberwą.

— To je sam zamknij, bo choć zamykam one się same ciągle otwierają, odpowiadam z gniewem za użycie wyrażenia w bezokolicznym trybie.

— To niech pan choć przytrzyma a spieszno, bo w bramę wjeżdżamy.

— A cóż to za brama?

— A do poczty.

— Czy to już stacya?

— A stacya.

— To niepodobieństwo, jedziemy zaledwie kilka minut.

— Ba! pan by tam lepiej wiedział odemnie gdzie stacya pocztowa.

Kareta zatrzymuje się, otwieram drzwi, wysiadam i dowiaduję się że mnie dopiero przywieziono do stacyi przy dworcu kolei żelaznej. Pocztylijon wali w drzwi jak na wybicie: biedne podwoje trzeszczą, kurz, pył, rumowisko sypie się ze stron wszystkich, umykam się to w prawo to w lewo, na stuk nikt nie odpowiada, pocztylijon nadsłuchuje i ponawia uderzenia, wreszcie, daje się słyszeć głos z wnętrza, drzwi się otwierają, połyskuje światło, ja wchodzę i potykam się dwa razy o dziurę w schodach i o próg zbyt wysoki. Mijam kancelaryą brudną jak nieszczęście i wsuwam się do *czekalni* już jak dwa nieszczęścia wyglądającej. Przy bokach stoją krzesła, z połamanemi nogami i poprzetrącanemi poręczami: jedną ścianę zasłania stara komoda krzywa, przy drugiej zaś stoi stół, a za nim stare wysiedziane sofisko, z którego okrycia parę tylko strzępów pozostało. Nie ma jednak rady, jak mogę uwygodniam sobie podkłady, kładę się i marzę o wygodzie staranniej utrzymanych siedzib, gdy w tem... coś mnie dźgnęło jak szpilką. Poruszyłem się, dźgnięcia mnożą się, stają się coraz natarczywsze, czuję że mi coś łazi po rękach i twarzy... poznaję towarzyszy wcale niepożądanych... Nie ma rady, zrywam się... w kancelaryi pisarz śpi ale się ciągle niespokojnie porusza. Cichaczem przesuwam się koło niego ale po cichu wpadam na jakieś pakunki i tłomoki, z rumotem przewracam krzesło, pisarz się zrywa i zapytuje wielkim głosem:

— A tam kto taki? Czy to ty Michale?

— Nie, to ja pasażer, czekający na dyliżans.

— A, to pan, przepraszam, ale wychodząc proszę drzwi zamknąć, bo mamy tu psa co mi w nocy zjadł raz buty słoniną wysmarowane.

— Buty zjadł! powtórzyłem zatrzymując się, to gotów i mnie napocząć jak się z nim spotkam.

— Niech pan będzie spokojny, to pies cichy i potulny tylko łakomy. Jak wyrwał ogon indorowi co go miał zjeść także ochotę, chciano go zastrzelić, ale nie było prochu a kupić zawsze zapominają.

Zabezpieczony co do psa wychodzę z kancelaryi do sieni wjazdowej: ciemno, tylko czuję że tuż coś stoi wielkiego. Wyciągam ręce... to dyliżans przygotowany do drogi. Wymijam go jak mogę, doszedłem przecie do dyszla; sunę się przy nim, coś się porusza. Czy pies czy nie pies? myślę sobie i zatrzymałem się. Cicho, idę więc dalej, a tu fuknęło i zarechotało i niebawem ozwał się cały chór trzody chlewnej. Rejteruję więc ku ścianie, trzoda uspakaja się, poruszam się dalej, zawadzam o parę szaflików, o kupę drzewa, o pieniek, o jakiś drąg. wreszcie zatrzymuję się przy barykadzie z różnych gratów i sam już nie wiem co mam z sobą zrobić, czy poczekać tak stojący do jutrzenki, czy też na los szczęścia błąkać się dalej po tym labiryncie różnych rupieci żywych i martwych. Na szczęście przypominam sobie o zapałkach; dobywam, trę jedną po drugiej, płomień tryska, patyczek gore, wznoszę go jak latarnię ale zaraz gaśnie, i ciemność jeszcze większa oślepia mi oczy. Mniej więcej rozpoznałem jednak otaczające mnie położenie, a przekonany o daremnem usiłowaniu rozniecenia ognia, stoję w miejscu jak słup przydrożny mając nadzieję, że jak się rozpatrzę, może choć z guzami i sińcami dopcham się do wjezdnej bramy przymkniętej tylko a nie zamkniętej. Z dwóch stron od kancelaryi, i z głębi wjezdnej sieni, dochodzi chrapanie dwóch śpiących śmiertelników: przy

karecie pocztowej coś czochra się o orczyki i dyszel, w karecie coś drapie się, dalej po za nią słyszę parskanie i chrupanie jedzących koni, czasami to tu to tam coś stuknie i zaszeleści, naraz jeden pęc! tuż przy moich nogach!

— Oho! myślę sobie, źle, harce dyabelskie czy szczury zbliżają się ku mnie, może być jaka bieda albo dla duszy albo dla ciała. Nic nie pomoże, trzeba się wydobyć przez bramę, z tego przedsionka piekielnej ciemnicy.

Ale zaledwie się poruszyłem, jak coś nie załomocze i nie wrzaśnie tuż nad moją głową, tak byłem pewny że cały budynek wali się i ziemia rozstępuje.

— Jednocześnie uczułem o nogi jakieś szturganie, ocieranie się: myślałem że wyskoczę ze skóry, ale wprędce oprzytomniałem. Nad głową zapiał kogut poprzedzając wrzask uderzeniem skrzydeł, a o nogi obcierał się pies w karecie nocujący, zapewne ów łakomiec zjadający buty. Poczęstowawszy go resztkami zapasów podróżnych, zyskałem nieodstępnego towarzysza. Był chudy jak pół szkieletu, żył widać własną zdobyczą, cóż zatem dziwnego że zjadł buty słoniną wytarte a indorowi wyrwał ogon pragnąc się dostać do jego pieczeni. Podkarmiony krakowską kiełbasą nabrał fantazyi, wybiegł przez niedomkniętą bramę, zaszczekał i znowu wrócił do mnie. Poszedłem za jego śladem: połowa bramy chwiała się na jednej zawiasie i przeraźliwie piszczała za najmniejszem poruszeniem.

Zdawało mi się że lada chwila zwali się i runie na ziemię: przemknąłem się jednak bez szwanku, dziwiąc się jak można ją codziennie zamykać i otwierać a nie pomyśleć o naprawie.

Pies tuż był przy mnie: kręcił się, machał ogonem, strzygł uszami, a gdym podsunął się ku ławce przy ścianie frontowej pod oknem mieszczącej się, wpatrzył się we mnie bacznie jakby z ciekawością co zrobić zamierzam. Ławka była pełna śmieci i gruzu, koniec jej tylko malutki, wolny był od tego przystroju: oczyściłem go, otrzepałem chustką, pies stoi i patrzy, siadam, deska nieumocowana w drugim końcu, ugina się, przechyla, gruz sypie się, spada na ziemię, wreszcie dwusto-funtowym swoim ciężarem siadam gwałtownie na ziemi, deska przelatuje mi nad głową, zrzuca kapelusz, odłamami cegły wali w szyby okna i jedną tłucze z kretesem a w drugiej zalepionej papierem robi dziurę wielkości pięści.

— A to mi się udało! pomyślałem sobie, jeszcze mnie gotowi wziąść za złodzieja.

Cisza jednak, nikt się nie przebudził w małem pocztowem otoczeniu, tylko trzoda chlewna rechnęła, kury zagdakały, pies podskoczył ku mnie i zaszczekał ale nie z zaczepką tylko z figlowaniem, sądząc zapewne że dla rozrywki z ławki chciałem zrobić chuśtawkę. Opylony i trochę pochrobotany dźwignąłem się: podniosłem kapelusz, oczyściłem a pies przysiada, zrywa się, obiega w koło i znów się tuż naprzeciw mnie zatrzymuje.

Zapaliłem cygaro, psisko przypatrzył się, zapiszczał i położył na ziemi. Jaka szkoda, pomyślałem sobie, że choć w tym wypadku nie mam psiej skóry na sobie. Stoję więc i patrzę: przede mną rysuje się mieścina w głębokim śnie zatopiona: wszędzie cicho i ciemno, w górze szara opona pokrywa przestrzeń, przy zachodzie migocą jeszcze gwiazdy ale coraz bledsze, coraz niewyraźniejsze, wreszcie gasną a na wschodniej pokazuje się rąbek jasnej jutrzenki. Witam go z uczuciem niewysłowionego wesela.

— Bądź pozdrowiony gończe słonecznej jasności, szepczę sobie w myśli. Patrząc od wieków na świat szeroki powiedz, czy u nas zawsze było tak brudno, niedbale i niechlujno? Dla czego w obczyźnie wszystko jest inaczej, dla czego czystość i porządek tak tam wrosły w obyczaj mieszkańców, że w najuboższem nawet domku niedostrzeżesz nigdzie takiego brudu i niechlujstwa, z jakiemi u nas tak łatwo się spotkać?

Miasteczka nasze, Panie odpuść! to otchłań zieją- ca zgnilizną, gdzie się dotkniesz pył i kurz, gdzie stąpisz... błocko, gdzie spojrzysz ruina i opuszczenie. Powiadają, że wyższa cywilizacya na obczyźnie, jest powodem tej różnicy tak bijącej w oczy. Prawda! Tam w każdej wiosce jest szkółka, w każdej głowie świadomość, jak ład i czystość są pożyteczne. Bądź pozdrowiona szkółko, bądź pozdrowiony promieniu światła co tryskasz z jej ścian skromnych i oświetlasz każdy zakątek ucząc jak być człowiekiem. Twoje to dzieło! Rozbudzając myśl do działania utrzymujesz ją ciągle w jednej czynności, wznosisz na coraz większe wyżyny i nie dasz usnąć w gnuśnem zaniedbaniu. Oby warunki twego rozwoju jak najprędzej otoczyły nas stęsknionych do darów, jakiemi tak szczodrze zasypujesz swoich zwolenników. Bądź pozdrowiona szkółko, jedyne narzędzie odrodzenia świata. Tyś jutrzenko dobra, ogarniasz milijony, umysły ich jak role płonne, wydmuchy i bagniska, użyzniasz, zasilasz wylegające się na niej szkodliwe chwasty i niszczące zarazy, zamieniasz w bujne plony. Przez ciebie szkodliwe przemienia się w pożyteczne, złe w dobre, szlachetne w wielkie, a wielkie w bohaterskie. Bądź pozdrowiona szkółko! Grunt na którym działasz, przez czas staje się silnym i mocnym jak granit: budujący się na nim gmach społecznej pomyślności, nie wstrząśnie się pod parciem wichrów choćby całego świata, każda burza przemknie się nad nim bez śladu prawie, a jeźli grom uderzy i sypnie gruzem, ze wszystkich stron podniosą się ręce i przywrócą świetność jaką jaśniał przedtem. Bądź pozdrowiona szkółko! Wielkąś ty choć wioska ograniczona: gdy kiedyś zapanujesz światu, uśmiech szczęścia odbierzesz w darze i milijonów błogosławieństwo.

W parę godzin później, wytoczono karecisko na żółto umalowane, według austryjackiego urzędowego gustu, opaćkane, zamorusane i oblepione błotem zapewne jeszcze zeszłorocznem i ruszyliśmy w podróż, drogą bitą bardzo starannie utrzymaną. Na godzinę dwunastą w południe stanęliśmy w D. ostatniej stacyi do której dochodził dyliżans.

Podróż odbyła się bez żadnego wypadku: na jednej stacyi wypiłem kawę, na drugiej zjadłem talerz wody zaprawionej rosołem i obskubałem kilka kości przedstawionych jako potrawkę cielęcą, co nazwano objadem na prędce przygotowanym.

W dalszą drogę miałem się udać pocztowym wózkiem, zawożącym pocztę do nadbrzeża. Czekam więc, tułam się po różnych dziurach, wchodzę na cmentarne otoczenie miejscowego kościoła, przeglądam nagrobki, czytam napisy, wszędzie jedna pustka i zaniedbanie. Mur parkanowy zdobią w niektórych pustkach małe szafeczki z obrazkami scen z pisma Św. Szyby w nich powybijane, ramki zapylone, obrazki wypełzłe i zamoczone: zwracam się ku zewnętrznym ścianom kościoła, kilku Świętych z drzewa rzeźbionych stoi przy nich jakby strzegły ciszy miejsca pobożnym myślom przeznaczonego. Prosta to robota a tak niezdarna, że patrząc na dodatki farb malarskich naśladujących wąsy, bakobrody i oczy wyłupione, gniewałem się i uśmiechałem mimowoli.

Po upływie wreszcie dwóch godzin, zajeżdża wózek pocztowy w półkoszkach. Słomy na nim pełno, koniki jak szczury, zaprzęgi parciane, a na przodzie siedzi mały, przygarbiony i zgięty w kabłąk starowina, ubrany zwyczajem ludu wiejskiego w starą brudną koszulę, brudną kapelusinę i twarz zababraną ogorzelizną.

Wywinąwszy batem, wpycha go w słomę, poprawia trąbkę zawieszoną przez plecy na sznurach co kiedyś były barwiste, i spoglądając na mnie badawczo choć zyzem i z pod oka, zapytuje:

— A gdzie wielmożny pan ma swoje rzeczy?

— Więc to wóz pocztowy? zapytuję.

— A jużcić! odpowiada starowina.

— I wyście pocztylijonem?

— Ej! nie, ino już od roku wożę zawsze do nadbrzeża pocztę swemi końmi. Ale niech wielmożny pan będzie spokojny, pojedziemy po pocztylijońsku.

— Temi szczurami? zapytuję wskazując na koniki ze zwieszonemi łbami stojące przy dyszlu, jak delikwenci na śmierć skazani.

— Szczury czy nie szczury, to niech ta oto pana głowa nie boli! odpowiada starowina widocznie obrażony lekceważeniem swego inwentarza. Niech będą szczury aby ciągnęły.

Wynoszą zatem rzeczy, porządkują w półkoszach, starowina przysiada, poprawia, nieraz zdaje się że zginie w słomie tak się zapada głęboko, ale mimo tego nie traci rezonu, łaje, gniewa się i posługuje otaczającą go gawiedzią.

— Hej! ty drągalu, woła na jednego z otaczającego nas tłumu, a obskub dokoła słomę żeby niewyłaziła. Herszek, pociągnij skrzyni pocztowej ku przodowi, żeby luz był większy na nogi dla *pasiazira*.

Mój śliczny Jacusiu przynieś mi krzynę wody do picia, a ty Jasiu załóż nasieliniki na konie. Ino żywo, po pocztylijońsku bo to służba rządowa.

— Na rozkazy tak stanowczo wydane, wszyscy się krzątają, poruszają, nadsługują, a że miałem być tylko przyczepką do woza pocztowego, pragnąc zabezpieczyć się co do zapłaty za podróż, zapytuję:

— I cóż to należyć się będzie ode mnie panie pocztylijonie za przewiezienie do nadbrzeża?

Starowina obciągając na sobie koszulę krajką tylko przepasaną, porządkując sznury trąbki i przekręcając kapelusz na bakier, spojrzał na mnie z pod oka i uśmiechając się odrzekł:

— Ej! jaśnie panie, z dobrym panem targu nigdy nie robię, bo wiem że mnie nie skrzywdzi.

Tak szybki awans z wielmożnego, na jasnego, nie spodobał mi się: był to pierwszy pocztowy wystrzał do kieszeni a raczej do torebki wiszącej mi na ramieniu wypchanej dość obiecująco... różnemi drobiazgami.

Pragnąc jednak ruszyć czemprędzej w drogę, z westchnieniem przyjmuję tak pochlebną odpowiedź: wdrapuję się do wózka, starowina poprawia się, szarpie lejcami, wywija batem i ruszamy tak szparko, że na zakręcie o mało nie spadam na ziemię. Chwytam się za półgrabek, jednocześnie podnosi się za nami krzyk: stój! stój. Przystajemy.

— A co ta nowego? pyta woźnica zwracając się ku wołającym.

— Koło spadnie, odpowiadają, bo lonu nie ma w osi.

— A bodajcie ogroziło! krzyczy woźnica, wyłazi z wozu i drapiąc się w głowę patrzy na koło wsparte już tylko na ostatnim kawałeczku osi.

— A to dopiero robota! To Walek skurczypałka! Ciągle zacharował wedle woza, aż też i skrępsił. A bodajcie ciorności...

Obstępuje nas znowu gromada ciekawych, opatrują, przeglądają, woźnica skrobie się i przeklina, widzowie śmiać się poczynają, woźnica się gniewa, zaczyna się zwada, sypią się przymówki, żarty, woźnica grozi batem, widzowie się śmieją i szydzą, konie się wyprzęgają, jeden skręca w prawo drugi w lewo, woźnica staje się coraz zapalczywszy, wreszcie chwyta jednego z żydków za klapy i oświadcza że z niego duszę wytrzęsie. Napadnięty nie wyjmując rąk z kieszeni, patrzy z uśmiechem na zawadyakę jak słoń na muchę i z najzimniejszą krwią odpowiada:

— Wytrzęście lepiej Józefie lon z kieszeni, jak duszę ze mnie, co ona wam winna?

Uwaga ta poparta mojem przedstawieniem trafia jakoś do przekonania woźnicy; puszcza żydka, wyjmuje kozik i struga zatykadło.

Jedziemy znów. Woźnica wykręca biczem jak wiatrak skrzydłami, co koło stuknie lecę w bok lub naprzód, skrzynia się porusza ale jedziemy. Wtem coś ryknęło, drgnąłem sądząc że konie przebite na wylot padły nagle wydając jęk boleści. Ale nie! jedziemy, tylko woźnica coś majdruje koło trąbki, przygląda się jej, obraca, dmucha i wreszcie widząc że nic nie poradzi zarzuca ją za plecy a do mnie zwracając się powiada:

— Chciałem pokazać sztukę pocztylijońską, ale ten Walek skurczypałka wszystko musi wziąść do garści i popsuć.

— A cóż to za jeden ten Walek? zapytuję.

— Nicpoń, panie, nicpoń. Niechno gruszkę zobaczy dojrzałą albo jabłko. to już jego, a mleko to z wymion wysysa jak cielak. Raz złapałem go tom tak skropił batem...

— Ale cóż to za jeden czy wasz syn?

— Juścić wnuczek po Agacie. Oj! było to termedyi było, moja kobieta myślałem że obłędu dostanie. Ja jej mówię, nie płacz babo, bo miała chyrlać Agata z jaki rok to lepiej że ją Bóg zabrał do swojej chwały, a ona aże się zanosi. Ja mówię co z Walka żadnej nie będzie pociechy, a ona rwie włosy na głowie i zalewa się łzami; ja mówię co i ona niedługo już pociągnie bo strasznie kaszle, a ona łamie ręce. Tak myślę se, kiedy już nie mogę żadnej pociechy wymiarkować, to pójdę w świat, niech ta się co chce dzieje. A i poszedłem, nie było mnie tydzień, jakem wrócił, baba zmiękła, wychałasiła mnie co prawda, chwyciła mnie za czuprynę, bo to babsko kieby wojak i harda i zapalczywa, ale zmiarkowała się i Walkowi na wszyćko pozwala. Ja ta u niej nic nie znaczę, tylko Walek, a to skurczypałka taki nienamolny, że jeszcze z jakie lat parę to nas wygoni z chałupy.

— A wiele ma lat?

— A będzie mu właśnie na tydzień przed Bożem narodzeniem dwanaście roków.

— No to powinniście mieć pomoc z niego przy gospodarstwie.

— Albo to ja gospodarz? odrzekł woźnica poruszając ramionami. Wszystko co w domu, grunt i chałupa, to wszyćko mojej żony, bo ja się z wdową pobrałem, a ona znowu wszyćko na Walka przepisała. Ja też pracuję a Walek doziera: ja z końmi do roboty a Walek do sadu po gruszki, ja na pastwisko a on do łóżka, ja na mrozie dzwonię zębami a on siedzi pod piecem przy misce. Kiedy rzeknę, Waluś pomóż mi w robocie, to ten krogulec ino się przeciągnie a moja hajże na mnie, a od czegoś ty niezdaro?

— Tak wy cóż na to?

— A cóż, w garść zapluję i pójdę z izby.

— Czy po kij?

— A to na co?

— Żeby Walka nauczyć roboty?

— Ej! mój panie, raz chciałem tego zaprobować, ale jak mnie chwycili i baba i ten krogulec żeby nie stelmach byliby mnie rozdarli.

— Więc krogulec wasz nie robi po całych dniach?

— A pocóż ma robić, kiedy co trzeba to zrobi babka za niego i ja.

— A do szkółki chodzi?

— Ej! u nas nie ma żadnej szkółki, co i lepiej, bo jakby jeszcze miał edukacyą toby patrzyć na mnie nie chciał.

Koniki choć ich szczurami nazwałem ale idą żwawo, wasążek podskakuje, coraz lepiej zatapiam się w słomie, drogi jednak coraz mniej przede mną. Jedziemy szparko: wjeżdżamy wreszcie do jakiejś wioski z klasztorem zakonnic: woźnica zatrzymuje się i woła na stojącego przy furcie klasztornej włościanina aby przyszedł do niego.

— A co macie do niego za interes?

— Ej! niosę świeże bułki dla wielebnej matki, to oddam żeby podał do furty.

(d. n.)

RAGUZA, CATTARO I CZARNOGÓRZE.

Wycieczka do obozu powstańców hercegowińskich.

(Wrażenia pewnej damy angielskiej z podróży po słowiańskich krainach pod jarzmem tureckiem).

Ustęp z „The Cornhill Magazine.“

I.

RAGUZA.

Podróżnik przybywający do Raguzy, przechadzając się po Corso zapomina że się znajduje w mieście austryjackiem, na wybrzeżach Dalmacyi. Stara Loggia, plac targowy wielka fontanna, słowem wszystko do koła przypomina miasta włoskie. Raguza leżąca na brzegach Adryatyku, wśród gór pokrytych drzewami oliwnemi, jest jakby odbiciem Amalfi; tarasy otaczające domy z czerwonemi dachami, przypominają Pistoję, a linije architekturalne głównych gmachów noszą na sobie piętno sztuki weneckiej. Ale jak jej siostrzyce z przeciwnej strony Adryatyku, tak i Raguza jest dziś tylko cieniem tego czem była. Patrząc na opustoszałe pałace i ciche trawą zarosłe ulice, trudno przypuścić że kiedyś kupieckie raguzańskie okręty przewoziły nieocenione bogactwa na najodleglejsze krańce świata, a obywatele pod względem przedsiębierczej działalności, pierwsze po Wenecyanach zajmowali miejsce. Dziedziczna arystokracya przechowała po dziś dzień wielkie swoje roszczenia kastowe, niestety! na zbyt słabych opierające się podstawach, a że bojąc się poniżyć niestosownemi związkami, żenią się tylko w własnem kółku, wyrodzili się więc i upadli bardzo, tak pod względem fizycznym jak moralnym.

Za świetnych swoich czasów, Raguza potrzebowała utrzymywać stosunki z wewnętrznemi prowincyami, z Bośniją, Czarnogórzem i Serbiją, przedstawiającemi drogi zbytu dla jej handlu i przemysłu. Zawieraniem zaś związków z jej mieszkańcami, Raguzanie zasilali krew swoją coraz nowemi pierwiastkami słowiańskiemi, dziś Austrya posiada tylko wązki pas ziemi, że jak malowniczo wyrażają się Słowianie, Dalmacya podobna jest do „twarzy bez głowy“. Raguzanie dzielni odpierali napady Wenecyan, Turków i Słowian i wytrwale bronili swej niepodległości, dopókąd sama przyroda nie wypowiedziała im walki, i skutkiem trzęsienia w r. 1667 nie zniweczyła zarazem ich potęgi i otaczającego ją u oku. Nie odstraszeni straszną klęską, mieszkańcy powznosili nowe domy na tym samym gruncie, zamiast posunąć się dalej na wybrzeża zatoki Gravozańskiej gdzie główny ich port wznosi się obecnie.

Z dawnego miasta pozostała tylko kopuła, gmach celny i pałac, i dziś Raguza wydaje się jakby pogrążona w głębokim śnie, przerywanym tylko staczanemi w pobliżu potyczkami i jękiem rannych szukających schronienia w jej obrębie. Na przytułek dla tych nieszczęśliwych, rząd austryacki przeznaczył mały lazaret, i trudno sobie wyobrazić jak smutny i opłakany przedstawia on widok. Istoty zaledwie podobne do ludzi, czołgają się po gołej ziemi wzdłuż nizkiego i źle przewietrzanego budynku; wynędzniałe, zaledwie okryte kobiety, łatają jak mogą spadającą z nich odzież, a nagie zgłodniałe dzieci rozpaczliwie domagają się pożywienia; starcy ogłupieni nędzą, wodzą dokoła bezmyślnym wzrokiem, jakby zobojętniali na srogą przygniatającą ich dolę i może straszniejszą jeszcze przyszłość. Obecnie znajduje się w Raguzie przeszło 6,000 wychodźców hercegowińskich, rząd pomaga im jak może, ale nie ma dostatecznych środków na zaopatrzenie ich potrzeb; wypłacają im dziennie po dziesięć centów na osobę, lecz że skutkiem większych zapotrzebowań ceny żywności podwoiły się, małe to wsparcie nie może w żaden sposób pokrzepić ciała i ducha tych nieszczęśliwych. Oprócz tych wychodźców, ilekroć stoczona bywa jakaś potyczka w okolicach Trebinji i Raguzy, przenoszą tu rannych, często w znacznej liczbie, i trzeba myśleć o ich pomieszczeniu, opatrywaniu, doglądaniu i utrzymaniu, tak więc, Raguzanom nie zbywa na zajęciu i gwałtownych wzruszeniach. Jeden z najpiękniejszych hoteli urządzony został na szpital tymczasowy, i zdawałoby się że po tylu klęskach i nędzy jaką biedacy ci przecierpieli w swoich górach, uważać go będą za upragnione schronienie, ale jak orzeł choćby w złotej zamknięty klatce rozbija ją skrzydłami i zrywa się do lotu, tak dzicy ci wojacy nie umieją żyć w małym pokoju i stosować się do ścisłych przepisów szpitalnych. Niech tylko cokolwiek odzyskają siły, dopótąd proszą i błagają pięknych swoich infirmerek, dopókąd nie wyżebrzą pozwolenia powrotu do swoich; nic nie pomagają namowy i przełożenia i najczęściej biedacy umierają w drodze.

Oprócz głównego tego szpitala, tu i owdzie urządzone są po mieście sale szpitalne dla biednych chorych, mieszczące się w nędznych chałupach, podobniejszych do piwnic niż do domów. Te niby sale są to ciemne i wilgotne izby bez okien, w których leżą na gołej ziemi biedni kalecy, zaledwie podobni do ludzi, pod brunatnemi szmatami, zastępującemi kołdry. Na żądanie moje zaprowadzono mnie do jednej z największych z tych chałup, nie potrafię opisać jak straszny oczom moim przedstawił się widok. Na ziemi leżało z jakie sto-pięćdziesiąt jednostek, żyjących tak, jedzących, śpiących i umierających obok siebie. Powietrze było tak gęste i duszne, iż z początku ani odetchnąć ani widzieć nic nie można było, i dopiero stopniowo sine te i wynędzniałe postacie zaczęły się uwydatniać. Najprzykrzejszym był widok nieszczęśliwych kobiet rozpaczliwie wyciągających ku nam ręce, i ukazujących dziury w dachu któremi deszcz spadał na gołą ziemię, na której leżeć musiały bez żadnego posłania ani okrycia.

Gdzie rzucić okiem przedstawiał się widok strasznych cierpień. Tu niewidomy starzec kończył nędzny żywot zatruty rozpaczą, biedą, głodem i zimnem, a tuż obok niego, w kolebce pożyczonej przez jakąś litościwą duszę, leżały nowo-narodzone bliźnięta, rzucone, wątłe i nagie, na ten padoł łez i nędzy, które dotąd tylko przez męczarnie głodu miały poczucie życia. Po nad kolebką stała pochylona zrozpaczona matka; zanosząc się od płaczu powiedziała nam, że nie ma nic więcej nad wypłacane 10 centów, z których utrzymać miała siebie i te dwie niewinne istoty które Bóg zesłał jej jako po ciechę i błogosławieństwo. Udzieliwszy jej wsparcie, opuściliśmy ten przybytek nędzy i niedoli, ze łzami w oczach i ze ściśnionem sercem.

Dzień Św. Błażeja, patrona Raguzy, obchodzony jest bardzo uroczyście. Wszystkie okna przyozdobiono bogatemi kobiercami, przed drzwiami domów powiewały różnobarwne chorągwie. Wspaniałe wiosenne słońce przyświecało uroczystości. Od samego rana porozmieszczano po ulicach mnóstwo świętych

obrazów zwróconych ku bramom miasta, przed którémi napływające gminy miejskie składają pokłony. Widok ten przedstawił się naszym oczom gdy tylko minęliśmy most zwodzony; jakąż to rażącą tworzył sprzeczność z dopiero widzianym obrazem! Już zdaleka widać było gromady wieśniaków zstępujących z góry; każda gmina miała swoją chorągiew. Przed nimi postępował oddział żołnierzy austryackich. Stanąwszy u bram miasta, niosący sztandary klękali powiewając niemi nad swemi głowami, przy odgłosie bębnów i wystrzałów.

Ubiory wieśniaków, od kapelusza do kamaszy lśniły od złota; galony te już może od kilku wieków przechodziły w spadku z ojców na synów. Chcąc je dziś kupić trzebaby zapłacić 100 do 200 dukatów: galony te przedstawiają wszystkie oszczędności nagromadzane przez ich naddziadów.

Zamieniwszy powitania i uściski dłoni z merem miasta, wieśniacy poszli główną ulicą na plac przed katedrą; tu zatrzymali się oddać pokłony; poczem złożywszy chorągwie w kościele, poszli bawić się i używać razem.

Oczom naszym przedstawiły się najróżnorodniejsze ubiory tak męzkie jak kobiece. Wiele kobiet miało na głowach ładne białe krajowe kapelusiki, inne znów bogato haftowane białe muślinowe chustki, jakie zazwyczaj noszą kobiety na wybrzeżach Dalmacyi i Albanji. Dziewczęta miały jedwabne gorsety, dobrze odznaczające zgrabną ich kibić; włosy, pozaplatane w długie warkocze, przystrojone były złotemi pieniędzmi. Widząc jak wesoło śmiały się i rozmawiały, trudno byłoby uwierzyć że tak blizko nich jest tyle nędzy, nieszczęść i cierpienia.

Zdawałoby się że sami nawet biedni wychodźcy, zapomnieli w tym dniu o swych cierpieniach i ciężkiej niedoli, bo choć tu i owdzie można było usłyszeć ciężkie westchnienie i ujrzeć twarz łzami zalaną, gdy naprzykład jakaś stroskana matka dowiedziała się iż syn jej został ranny, lub jaka żona żegnała męża wracającego do szeregów, w ogóle jednak wszyscy prawie byli w dniu tym weseli i w dobrym humorze.

Jednak tu i owdzie stały gromadki mężczyzn z poważnemi zamyślonemi obliczami i iskrzącemi oczyma; podarta i zniszczona ich odzież zwiastowała że przybywają z placu boju. Nie patrząc co się w około nich dzieje, powtarzali sobie ostatnie wiadomości; wzruszający był to widok jak dzicy ci wojownicy klękali pobożnie, kornie pochylając głowy, gdy przenoszono obok nich relikwie Św. Błażeja obnoszone po mieście w srebrnym relikwiarzu.

(*d. c. n.*)

KORESPONDENCYA Z KRAKOWA.

Smutnym jest widok grodów, które swą wielkość przeżyły. Pozostało w nich wszystko co było dawnego życia powłoką, ale życie to uciekło pozostawiając po sobie głazy mchem i pleśnią porosłe. I tych głazów czepia się zkarłowaciała rzeczywistość, lepiąc z nich gniazdo powszedniego bytu, codziennych zajęć — handlarska chciwość wyrywa z zapleśniałych murów cegiełkę po cegiełce — pozytywizm zciera z marmurów stare pamiątki. Członki trupa nie mogąc rozpaść się w kawałki kostnieją, i pozostaje na wieczne czasy ruina świadcząca o znikomości rzeczy ludzkich. Lata płyną a z każdym rokiem ginie jakiś zabytek ubiegłych czasów, rozpada jakaś ściana by wpuścić do panteonu stuleci trzęsącą łachmanami nędzę; tam gdzie lśnił dawniej bogactw przepych, czerw' zniszczenia podkopuje, szczerbi, druzgocze, zaciera, prawie wszystko co jeszcze pozostało...

Takim jest obecnie Kraków. Na ulicach nie ma ruchu, w sklepach nie ma handlu, w hotelach nie ma wygody, po godzinie dziesiątej wieczorem mieszkańcy jakby wystraszeni cieniami nocy, znikają w zakątkach swoich siedzib, nie chcąc się już więcej na świat boży pokazywać. W dzień kręcą się chmary żydów chciwych, zwadliwych, natarczywych i brudnych. Z pośrodka zczerniałych wiekami murów wybiega przed oczy nieoswojonego z podobnym widokiem turysty jasnem swem tłem kamienica biała, foremna, starannie otynkowana — prawie niemiecka, i ona więcej jeszcze razi wzrok aniżeli cały szereg rozpadających się w gruzy pustek. Ale to jest zewnętrzna tylko strona Krakowa; kto się zechce wpatrzyć w tajniki wewnętrznego życia tego grodu znajdzie ciepło sercowe, spójność rodzinną, przyjacielskie namaszczenie a przedewszystkiem w kościołach majestat Boży a w wszechnicy majestat światła. Cynizm nihilistów nie ma tu przystępu, ateizm wyraża wstręt i odrazę, a wyszydzanie pamiątek przeszłości uważanem jest za zbrodnię. Kto nie wtajemniczył się w ten żywot cichy, poważny, wiekowy nie ma wprawdzie ochoty zlać się z nim, każdy jednak nawet nieobeznany z wewnętrznemi jego objawami radby tu umierać.

Nie jest zamiarem mojem pisząc do was list datowany z pod omszonych przebiegiem czasu murów Wawelu, rozwodzić się nad drobnostkami powszedniego bytu, wyprowadzać na jaw szczegóły codziennych zajęć mieszkańców, sięgnąć w zakulisowe intrygi niektórych powiatowych delegatów, odsłonić zasłonę tajemnic przedwyborczych, które kończą się we Lwowie gwizdem, sykiem i wybijaniem szyb w oknach, jednem słowem czemciś podobnem do burzy w szklance wody. Nie pragnę także zatrudniać Czytelniczek moich wywodami o miejscowych widowiskach, grze artystów, szwedzkich koncertach, niemieckich „bierhallah", każdy bowiem szczegół tchnący choć szczyptą humoru, wesołości, humorystyki, nieodpowiadałby smutnemu nastrojowi mojego obecnego usposobienia. Co się tyczy jednak teatru dodać winienem, że dyrekcya idąc za ogólnym prądem stara się być o ile można poważną w doborze sztuk. Płaskie farsy zupełnie tu nie popłacają, wesołe wodewilki w szczupłej nader dozie podawane są lubownikom tego rodzaju rozrywek, natomiast rzeczy szerszego i więcej klasycznego zakroju częściej nierównie ukazują się na scenie. Artyści, z małemi nader wyjątkami odpowiadają swojemu zadaniu, co tymbardziej zasługuje na pochwałę, iż zarząd teatru ażeby skompletować sceniczną trupę odpowiedniemi talentami, zmuszony jest staczać ciągłą walkę ze Lwowem, który najwybitniejsze osobistości mając materyalne środki potemu z Krakowskiego towarzystwa dramatycznego porywa.

W dziennikarstwie galicyjskiem wybitność odcieni różnych poglądów jest równie wielką jak w W. ks. Poznańskiem. Pomiędzy wygłoszonemi opinijami widnieje częstokroć przepaść której nic nigdy zapełnić nie zdoła. Dzieląc przekonanie Czasu i Kuryera Poznańskiego, nie mamy za złe tym którzy wprost przeciwne objawiają zdanie; błąkanie się ma czasem swój pożytek, a do prawdy dojść można nieraz i manowcami. Czego jednak niepodobna nam zrozumieć to owej krańcowości materyalistów, owego wyuzdanego ateizmu, który odwiecznej prawdy pragnie szukać w śmieciach i kale, który świątynie boże chce obrócić na rzemieślnicze warsztaty, a ewangieliję na archeologiczny zabytek, który obrońców wiary pragnąłby zasadzić do szpitala waryatów, który plwa bezbożnie na wszystko co święte a nie umie stworzyć nic innego prócz zwątpienia i rozpaczy. Na szczęście jak tu tak i w nas są to tylko wyjątki, głosy pojedyncze małoznaczne, drobne czarne plamki na obszarach jasnego błękitu: dla nich głos prawdy jest „vos clamantis in deserto". A ludzkość? zapytacie. Kto patrzy na człowieka, płacze, kto widzi ludzkość, uśmiecha się spokojny! W dodatku, to jeszcze nas pociesza że owa krańcowość nihilistycznej idei widnieje jedynie w kilku dziennikach, mniej w książkowej literaturze, rzadziej jeszcze w wewnętrznem życiu mieszkańców; robak bowiem ateizmu nie wcisnął się w żywotne soki społeczeństwa, gdyż przy kruchtach kościołów stoi na straży modlitwa, u progów ognisk domowych broni wiara.

A teraz przejdźmy do sztuk pięknych. Sztuka mając pomiędzy apostołami przodownikiem takiego tytana jakim jest Matejko, kwitnie, rozkrzewia się i postępuje ciągle naprzód; wyniki prac krakowskich artystów są olbrzymie, zadziwiające. Zwiedziwszy w tych dniach wystawę krakowską, doznaliśmy niewysłowionego uczucia radości i zachwytu. Poczucie piękna nie zamarło, ono widnieje w utworach miejscowych malarzy z których wiele bez obawy przechwalenia rzeczy rodzinnych, swojskich, czysto słowiańskich do arcydzieł policzyć można. Na wstępie uderzył nasze oczy portret historyczny Jana Wilczka z Czeszowa pędzla Jana Matejki. Główna figura obrazu zdumiewa siłą kolorytu i rycerską butą całej postaci. Wilczek wystawiony jest tu jako obrońca Klasztoru Benedyktyńskiego w Trebisz na Moranie w r. 1468. Uzbrojony od stóp do głowy w zielonej dalmatce bogato haftowanej złotem, stoi na złomie fortecznych murów, śledząc bacznem okiem ruchy nieprzyjaciół i obliczając siły obozu swojego przeciwnika. Prawa ręka oparta na rękojeści dobytego miecza, głowa hardo zwrócona w stronę oblegających, każą się domyślać w nim obrońcy pełnego rycerskiego ducha i niewzruszonej niczem siły charakteru. Wykonanie nosi wszystkie cechy właściwe olbrzymiemu talentowi Matejki i odznacza się oprócz tego spokojem jakoteż harmonią w doborze barw, w umiejętnem stopniowaniu cieni i świateł. Pruszkowskiego Witolda „Modlitwa" jest utworem podniesionym do wyżyny rzewnego poematu. Wszystko począwszy od cichej księżycowej nocy a skończywszy na postaci wieśniaczki modlącej się u stóp kapliczki na intencyę swego niemowlęcia, które zbolała matka składa u stóp Bogarodzicy, tchnie niewysłowionym wdziękiem. Niebo oświecone blaskiem księżyca, niknące kontury drzew wśród mgły wieczornej wraz z bladem światełkiem lampy gorejącej przed wizerunkiem Przenajświętszej Maryi, składając się na nader malowniczą całość świadczą pochlebnie o talencie artysty, który umie odczuć sercem to co wytwarza. Dwie sale Willanowskiego pałacu, dzieło Gryglewskiego, mieszcząc w sobie cały przepych zawartych w nich kosztowności, a malowane z drobiazgową dokładnością szczegółów, stanowią jeszcze jeden więcej dowód wysokiego uzdolnienia artysty w rodzaju perspektywicznym. Ajdukiewicza „Bitwa" i „portret pana Z. S." świadczą o ciągłych jego postępach w dziedzinie sztuki, i każą się spodziewać znakomitych rezultatów w przyszłości jeżeli on i nadal tak jak dotąd postępować będzie drogą wytrwałości i pracy. Kossaka „Kafarek" z Mohorta, uderza niezwykłą świeżością kolorytu i młodocianą werwą w układzie. Kafarek dzielnie siedzi na koniu, charty z przedziwną prawdą nadstawiają uszy śledząc upatrzonego zająca, a na drugim planie tyle widać ruchu i życia iż widz mimowolnie bierze udział w tych harcach łowieckich których arenę stanowią niezmierzone pól obszary i przestrzenie stepów. Tepy, portret Ojca wspomnionego artysty akwarella (głowa naturalnej

wielkości) odtwarza sędziwe oblicze starca z realną prawdą łagodząc jednak jej piętna z pełnym estetycznego zaokrąglenia rysunkiem i dziwnej miękkości modulacyą ciała.

(d. n.)

Przegląd literacki.

J. I. Kraszewski Powieści historyczne. I. Stara Baśń powieść z IX wieku 3 tomy.

Nakładem Spółki Wydawniczej księgarzy warszawskich. Kraków 1876.

Niezmordowany przodownik piśmiennictwa krajowego, olbrzym pracy i talentu wziął na siebie zadanie przedstawić w szeregu powieści historycznych wszystkie główniejsze epoki dziejów naszych. Zadanie to ciężkie dla każdego innego, dla Kraszewskiego nie będzie takiem: już niniejsza powieść nie zawiodła naszych oczekiwań i już zawczasu cieszymy się nadzieją, że będziemy mieli wspaniały obraz dziejów w powieści obraz, którego nam pozazdrości każda inna literatura, i to dzięki niezmordowanej pracowitości i olbrzymiemu talentowi Kraszewskiego, który w ostatnich czasach z widocznem zamiłowaniem i z tak świetnem powodzeniem trzyma się przeważnie dziedziny powieści historycznych.

Według z góry powziętego planu, każde stulecie naszych dziejów znajdzie swą ilustracyą w osobnej powieści. Szereg ich rozpoczyna się od wieku IX, do którego odnosi autor swoją Starą baśń. Za punkt wyjścia i żywioł historyczny wziął niecałkiem nawet historyczne, nawpół bajeczne podanie kronikarskie o złym Popielu, którego myszy zjadły i o wyniesieniu na stolec książęcy Piasta. Na tem skąpem i fantastycznem tle Kraszewski osnuł wspaniały obraz, który można nazwać epopeją w prozie. Okrucieństwa Popiela, którego autor nazywa Pepełkiem z przydomkiem Chwostka i jego konszachty z odwiecznymi wrogami Słowiańszczyzny — Niemcami — za pośrednictwem swej żony Niemki Brunhildy, wyprowadziły nakoniec z cierpliwości swobodnych kmieci lechickich, którzy dawniej panów niezuali, a książąt obierali tylko na wodzów wypraw wojennych, dla obrony od napaści sąsiedzkich. Jako przedstawiciel świata kmiecego i obrońca jego swobód, występuje sędziwy Wisz, mężny w boju, i dobry do rady ale gdy ten zginął w boju, wtedy gród Pepełka Kruszwicę i zamek czyli „stołb" na jeziorze zdobywają kmiecie pod wodzą rodu Myszków (tak pojął autor bajeczne owe myszy). Okrutny książę ginie z małżonką, a kmieć Piast czyli piastun zajmuje jego miejsce na stolicy książęcej i buduje nowe miasto Gniezno, według autora tak od wyrazu kneź, (książę) nazwane. Tradycya i dawne podania kronikarskie wywodzą tę nazwę, jak wiadomo, od gniazda orlego. Romantyczny żywioł opowieści stanowią zabiegi popędliwego Domana o względy Dziwy, córki Wiszowej, która z początku ślubowawszy Bogom dziewiczość, umiała nawet mężną ręką odeprzeć zbrojnego napastnika, ale potem uległa niewieściemu uczuciu. Dziewica ta słowiańska, może trochę wyidealizowana, stanowi jednak typ ponętny i wspaniały. Mnóstwo tam jeszcze i innych w powieści snuje się postaci: mądry i uczciwy i zdrowo radzący Piast, natchniony śpiewak Słowian, baba znachorka czyli „wiedźma" Jarucha, której może autor zawiele dał dowcipu, rozumu i wpływu, dumni Leszkowie, krewni Popiela, którzy pomimo krzywd krwawych nie chcą się łączyć z kmieciami, a mianowicie surowa i wspaniała postać starego Miłosza, dalej arcykapłan Wizun, jowialny i jakoś może nie według ducha owej epoki bajroniczy zdun Mirsz ze swoją biedną córką, wreszcie niemiec Hengo, kupiec i szpieg w jednej osobie, nienawidzący wszystkiego, co słowiańskie, knujący podstępy i zdrady.

Autor nie pominął żadnej prawie strony ówczesnego życia i obyczajów, które odczuł i odtworzył z nieporównaną dokładnością i wysokim artyzmem. Oprowadza nas więc i po chatach kmiecych i po dworze książęcym, wiedzie do świątyni na Lednicy, na wiece czyli obrady Lechitów i do obozu wojennego. Maluje z właściwą sobie plastycznością obyczaje życia powszedniego, uczty i zabawy książąt i kmieci, obrzędy religijne i wyrocznie, pogrzeby, obchód święta Kupały, gwarne obrady wiecowe i wojenne Szczególniej wspaniałym i wyczerpującym jest obraz obchodu Kupały w tomie drugim: jest to arcydzieło w swoim rodzaju, zupełne i zaokrąglone, w końcu autor nic nie pominął — ani tła rodzinnej natury, ani religijnych i swawolnych igrzysk i nadużyć. Równie po mistrzowsku skreślone obrady wiecowe: już i wtedy istniały w zarodzie niezgodność, buta, przewaga interesów osobistych, które później tak złowrogo uwydatniły się w sejmach rzeczypospolitej. Rola poezyi w życiu odświętnem, w obrzędach religijnych i zabawach uwydatniona wyczerpująco i autor przytacza tu liczne pieśni Słowana, Jaruchy, Dziwy i innych; pieśni te, choć niby prozą przytoczone, po części są żywcem wzięte od muzy ludowej, po części tak szczęśliwie naśladowane, że leją się potokiem, układają się w rytm i rymy i mają wszystkie cechy prawdziwej poezyi ludu. Pieśni te, zgodnie z duchem i obyczajem ludów słowiańskich, rzadko są wojenne; częściej daleko tęskne, sentencyonalne, miłosne lub religijne. Żywioł chrześcijański, który niebawem miał sprowadzić jutrznią nowego życia i nowej potęgi na ziemi lechickiej, przedstawiony już jest w powieści o której mowa, w swoim przedświcie. Chrześcijaństwo Niemców wystawił autor, zgodnie z historyą, jako zupełnie pozbawione miłości w ich stosunkach ze Słowianami; Niemiec tylko pysznił się swoją martwą wiarą, plwał na bożków słowiańskich, jak Hengo, ogarniał przytem swą nienawiścią wszystko co słowiańskie, a więc pogańskie, odmawiał poganom prawa do bytu i życia, a zamiast oświecać słowem i nawracać miłością, uważał za swój obowiązek ujarzmiać i tępić wstrętne sobie plemię sąsiedzkie, obłudnie przykrywając się znakiem krzyża i w imię religji miłości, szerząc podboje, gwałt, niewolę i wytępienie. Z drugiej strony autor nie zaniedbał przedstawić Słowian, jako wolnych od fanatyzmu religijnego i chętnie dających posłuch nowej nauce, która zaraz pociągała ich serca: występują tu i owi pierwsi apostołowie chrześcijaństwa na ziemi słowiańskiej, przypuszczalnie Cyryl i Metodyusz, których legenda kronikarska czyni gośćmi Piasta i uczestnikami postrzyżyn jego syna Ziemowita.

Wspaniałe opisy przyrody, wówczas jeszcze bardziej dziewiczej i nietyle nadwerężonej i spustoszonej co dzisiaj, przewyższają nawet to wszystko, cośmy czytali w innych pracach Kraszewskiego, znanego za mistrza w podobnych obrazach. Bogate i poetyckie lasy, ciche łąki i jeziora, smętne pastwiska, święte gaje, uroczyska i horodyszcza, wszystko to ubrał autor w szatę wspaniałych przemawiających do duszy opisów. Miłość ziemi rodzinnej, jakoteż i jej powabów rodzinnych, oraz gorące uczucie dla wszystkiego co piękne i dobre, ożywia zarówno te opisy przyrody jak i wizerunki ludzi i w ogóle przenika na wskroś całą tę majestatyczną pracę. Z tego więc względu, może bardziej niż dla innych, dzieło to godne jak najgorętszego polecenia i powinno być czytane przez wszystkich. Jest to powieść, która nietylko zajmuje wyobraźnię czczymi wymysłami miłosnych przygód (jak to zwykle bywa); lecz nadto uczy, odświeżając lub wywołując w pamięci tak zupełny i wszechstronny obraz odległej epoki i budząc uśpione w duszach teraźniejszego pokolenia, a zawsze pożądane i piękne uczucia.

Dwa tylko podrzędniejsze zarzuty odważylibyśmy się, choć z nieśmiałością, wypowiedzieć o dziele tak wielkiego mistrza: oto tom trzeci wydaje się nam mniej interesującym, a to z powodu zbyt już przewlekłych opisów walk i obrad, a we wznawianych opisach tych ostatnich wiele rzeczy nawet się powtarza; po drugie, nie wiemy czy jest koniecznem ubiegać się o wyrazy archaistyczne, niby do będącej w mowie epoki należące, tembardziej że niektóre, przez autora użyte, może i nie były staro- lechickiemi, lecz wzięte są z jednego spółczesnego nam słowiańskiego języka.

W.

NOWE WYDAWNICTWA.

Obrazki z przeszłości poświęcone młodemu wiekowi przez Aleksandrę z Chomętowskich Borkowską, wydanie drugie wyszło na widok publiczny i obejmuje: Dawniejsze Siedlce, Sandomierz, Zawichost, Ossolin, Kościół w Malicach, Świętokrzyzka góra, Klasztor Benedyktynek w Sandomierzu, Raciborski zamek, Księżna Adelajda, Jarosław Bogorya, Biały książę Świętosław, Ojciec Rafał Jan Dębiński, Michał Duzewski, Kazimierz Korsak, Tomasz Oborski, Floryan Czartoryski, Henryk Firlej, ks. Warszewicki, Niegoszewski, dwie Anny, ksieni Dorota, Anna Chodkiewiczowa, starościna Dobrzańska, obóz pod Tczewem.

Dostać można we wszystkich księgarniach po rs. 1 za egzemplarz. Dla prenumeratorów Tygodnika Mód lub Przyjaciela Dzieci cena zostaje obniżoną do kop. 75 i przesyłka następować będzie kosztem wydawcy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Jadwidze R. w Warszawie. Wierszyki p. t. Smutno mi! i do mojej gwiazdki z czuciem serdecznem napisane, ale nie są to jeszcze natchnienia prawdziwie poetyczne. Brak także w formie zachowania koniecznych warunków.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i duży arkusz z krojami.

Opis do N. 45.

(Dokończenie).

N. 30—31. Talerz pod flakon albo pod lampę. Malowanie na drzewie i wyszycie z plecionek.

Ryc. 30 przedstawia w naturalnej wielkości część drewnianego talerza, służącego za podstawkę do lampy albo flakona, którego brzeg zdobi malowanie odrobione cienkim pendzelkiem, a naśladujące rysunek grubem piórem. Tło czarne zapełnia się farbą z palonej kości słoniowej a deseń z jasnem tłem robi się tuszem. Inny odpowiedni deseń do odrobienia sepją i sadzą *(noire de bougie)* znajduje się na Fig. 42, tło daje się bladym tuszem. Dno talerza pokrywa sukno wyszyte kolorowemi plecionkami, na których deseń odrobiony kordonkiem stosownie dobranych kolorów. Następnie sukno przykleja się do drzewa gładko, a koło brzegu dodaje sznur czarny jedwabny, także przyklejony.

N. 33. Podwiązka. Robota pleciona.

Materyał: włóczka angielska biała, niebieska i szafirowa. Na podwiązkę potrzeba 12 nitek włóczki 186 cent. długich (po 4 z każdego koloru), z których najpierw w środku plecie się we 3, kawałek 10 cent. długi, złożony na pentelkę; dalej nitki zrównane plotą się we 24 na taśmę 4 cent. szeroką. W pleceniu trzeba tak nitki układać ażeby utworzyć deseń, np. biorąc 8 białych we środek, po bokach 4 niebieskie a z brzegów po 4 szafirowe, oprócz tego przy przekładaniu nitek uważać ażeby połowę środkowych na lewo, połowę drugą na prawo przekładać, zaś nitkę brzeżną z jednej strony kłaść pod a z drugiej na środkową białą. Taśma powinna mieć 47 cent. długości a końce nitek spleść we troje na 6 równych warkoczyków.

N. 34. Szydełkowa czapeczka do lampy.

Materyał: 10 gram. włóczki zielonej, trochę żółtego jedwabiu.

Ośmiokątną czapeczkę na lampę zaczyna się od środka denka 3-ma w kółko złączonemi oczkami i obrabia o. ści. sł w koło, biorąc zawsze w spodnią nitkę i przybierając w ten sposób żeby w 4-tem obrobieniu mieć okrąg z o. 22. W 5 tem obrobieniu przybierać w każde 4-te o. 3, dalej zawsze w środkowe z 3 przybranych robić o. 3, ażeby po 8 takich obrob. mieć o. 160.

Teraz denko doszło największego swego rozmiaru, więc zaczyna się gubienie, 8 razy w każdym rzędzie w miejscach gdzie się przybierało opuszczając 2 o. środkowe. Po siedmiu rzędach gubienie jest skończone, a pozostałe 48 o. obrabia się 6 raz równo na pasek wyszyty ściegiem cierniowym, jedwabiem odmiennego koloru. Denko wyszywa się w sposób na ryc. 34 wskazany.

N. 35—36. Szczotka do wycierania szkła od lampy.

Szczotka doskonale czyszcząca szkło do lampy urządza się na kijku politurowanym 36 cent. długim, trochę grubszym od zwykłego ołówka, w którym w środku i w końcach przewiercone są dziurki. Pręcik ten do połowy długości owinięty jest watą i oszyty płótnem lub kartonem, dziurki służą do przymocowania tak owinięcia ażeby się nie ruszało. Na wierzch daje się powleczenie robione szydełkiem z bawełny ciemno popielatej. Zaczyna się na o. 6 złączonych w kółko i obrabianych ciągle w koło ściegiem na próbce 36 wskazanym. 26 rzędów daje potrzebną długość, poczem robotę powłóczy się na watę i ściąga dobrze u góry i dołu.

N. 37. Osłona na lampę. Robota nakrapiana. Forma N. VIII Fig. 33.

Osłonę przykrawa się z grubego kolorowego papieru i zdobi malowaniem nakrapianem, którego sposób już nie raz był opisywany.

N. 39—40. Paletot jesienny. N. I Fig. 1—7.

Z przodu i z tyłu przedstawiony paletocik jesienny przy zeszyciu boczków z plecami zdaje się być w dwie fałdy zaszyty, rzeczywiście jednak tylko jedną daje się przy pleckach fałdę poniżej na dwie rozdzieloną i zaprasowaną. Na modelu plecy w środku i z boczkami zeszyte były tylko do wcięcia w stanie, a dalej brzegi założone jedne na drugie tak ażeby u dołu C na C a H na H wypadło, i zczepione nieznacznie z lewej strony.

Na wierzch zachodząca część pleców jest od G do krzyżyka przyszyta i odwrócona. Formę przodu na Fig. 1 podaliśmy z okrągłym wykrojem, a linją oznaczyliśmy wykrój szalowy.

Na ryc. 39 przedstawiliśmy paletot aksamitny z szalowym kołnierzem, obłożony plisami 5 cent. szerokiemi z jedwabnego repsu, zakończonemi w górze wypustką z grubym sznureczkiem. Frendzla jedwabna 12 cent. szeroka przyszyta u dołu, a kokarda z repsowej wstążki dopełnia strojne przybranie. Rycina zaś 40, przedstawia z tyłu kaftanik z ciemnego wełnianego materyału, szeroko naszyty pletnią wełnianą.

Opis do N. 46.

N. 1. Koronka irlandzka do serwetki ryc. 9 w N. 44.

N. 2. Ząbki szydełkowe obrobione przy plecionce mignardise.

N. 3—4. Dwa rękawy do sukien.

Do ubrania obydwóch rękawów użyte są pliski które mogą być jedwabne lub wełniane, jaśniejsze lub ciemniejsze od sukni. Na rycinie 3 widzimy rękaw zakończony mankietem, otwartym z boku i złożonym krzyżującemi się pliskami; powyżej mankieta dane trzy pliski zachodzące na siebie a po nad niemi suta kokarda z wstążki; brzeg mankieta objęty pliską i oszyty koronką wełnianą. Rycina 4 przedstawia rękaw zdobny szerokim wykładem, objętym pliską ciemniejszą; jeden róg wykładu odwija się nakształt klapki podwójnej oszytej pliską i przytwierdzonej guzikami. Dół rękawa otacza wązkie plisowanie.

N. 5. Opis przy ryc. 16.
N. 6. Opis przy ryc. 24.

N. 7. Szyfonierka.

Materyał: gruba popielata kordonkowa bawełna; paski sukna zielonego, popielatego i czarnego; taśma wełniana zielona 2 $1/2$ cent. szeroka; kwaściki zielone i takaż podszewka.

Pokrycie kieszonki stanowi siatka popielata, przewłóczona paskami kolorowego sukna. Ażeby paski dały się prosto przewłóczyć potrzeba siatki prostej; w tym celu zaczyna się od 2 o. i przybiera na końcu każdego rzędu 1 o. aż do 30 o. stanowiących potrzebną szerokość (29 cent.). Dalej nie przerywając roboty jednakowo przez 50 rzędów; brakujący róg tego podłużnego kawałka utworzy się przez gubienie stopniowe aż do 2 o.

Ukończywszy siatkę przewłóczy się w poprzek paski popielate i zielone a wzdłuż czarne. Zszycie torebki dopełnia się podług ryc. 7; brzegi otacza riusza z taśmy wełnianej; przyozdobienie stanowią kwaściki.

N. 8—9. Szeslong, wałek pod głowę i kołdra. Desenie haftu łańcuszkowego na arkuszu z krojami. Fig. 36—37.

Szeslong taki bardzo dogodny do spoczynku dla osób powracających do zdrowia, opatrzony elastycznemi sprężynami, ma pokrycie pikowane guziczkami a brzegi boczne układane w bufę. Przyozdobienie stanowi sznur, frendzla i kwasty jedwabne. Lekka wytworna kołdra ma wierzch zszywany z pasów aksamitnych i ciemno-pąsowych i z jaśniejszych sukiennych zdobnych haftem łańcuszkowym; spód z białego atłasu lekko podwatowanego i przestębnowanego w skośne kwadraty: brzegi oszyte sznurem jedwabnym, tego co aksamit koloru. Długość kołdry wynosi 180 cent., szerokości 138; trzy aksamitne pasy

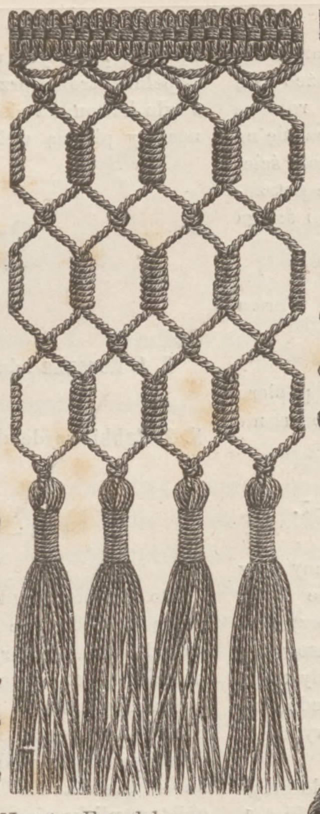


N. 1. Ubranie spacerowe z półwciętym paletotem. Krój paletota w dodatku N. X Fig 46—50-a. Przód podamy w przysz. Nrze.

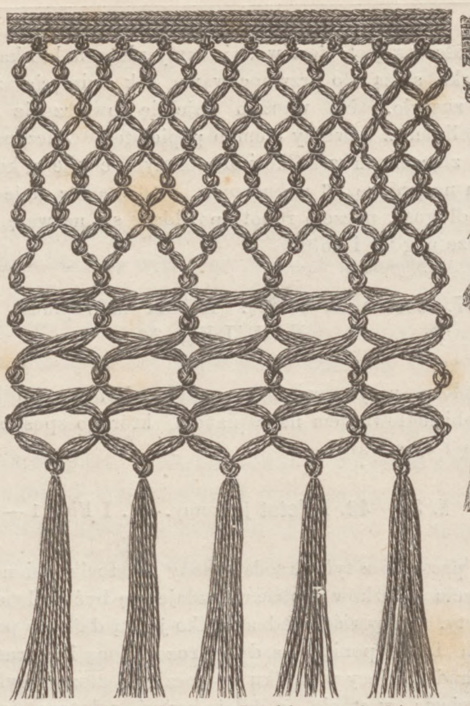
N. 2. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Krój tuniki i stanika w dodatku N. XI Fig. 51—54.

N. 3. Ubranie dla chłopczyka.

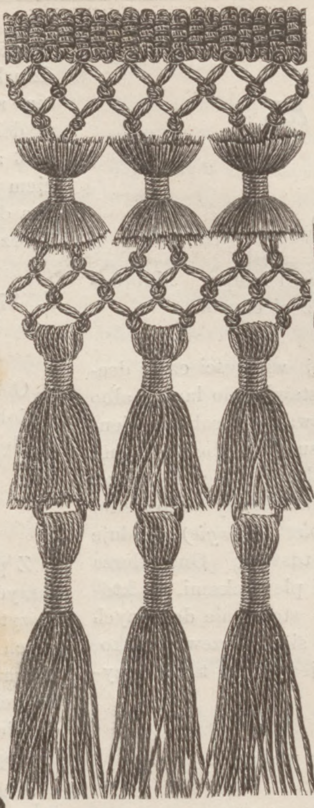
mają po 18 cent., każdy haftowany pas sukienny jest 21 cent. szeroki i środkiem ma wyszyty deseń podług fig. 36 a szlaczki brzeżne podług 37. Rycina 9 załącza w zmniejszeniu wzór pasa sukiennego; jedwab do haftu można dobrać w kilku kolorach np. żółty, niebieski i czarny lub w jednym kolorze do cieniu. Wałek pod głowę jest 47 cent. długi a obwodu ma 32 cent. odpowiednio do kołdry i tu dane są pasy aksamitne i sukienne; na końcach przyszyte rozety szmuklerskie i kwasty.



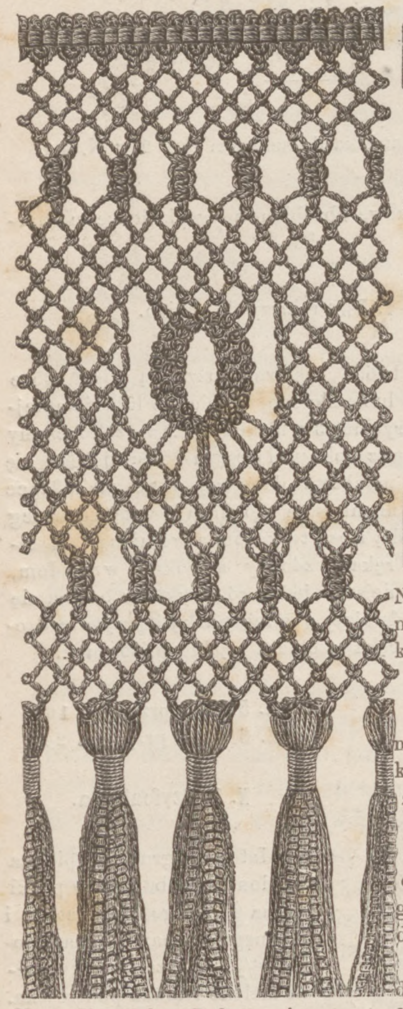
N. 5. Frendzla z nagłówkiem szmuklerskiem ze sznureczka.



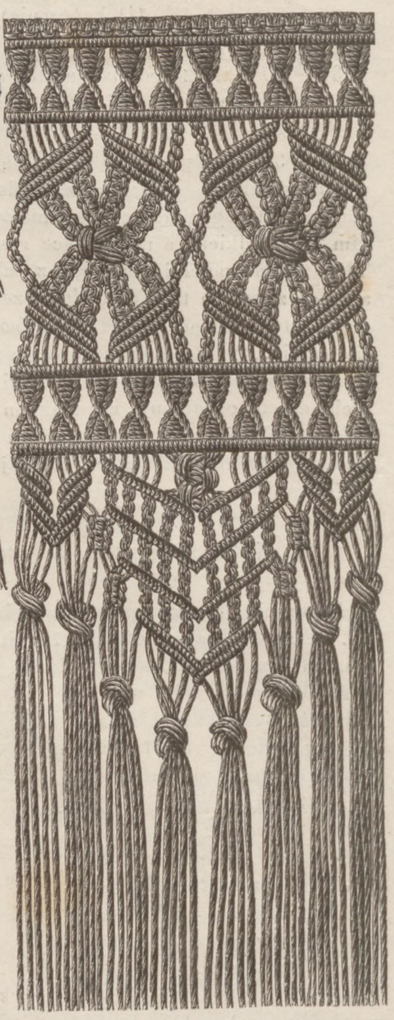
N. 4. Frendzla z nagłówkiem z siatki jedwabnej.



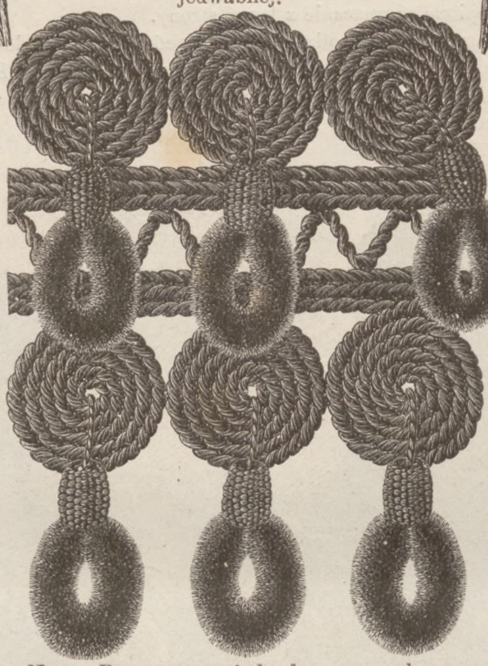
N. 6. Frendzla z kwaścików.



N. 7. Frendzla. Robota wiązana w proste węzełki.



N. 8. Frendzla. Robota w węzły *macramé*.

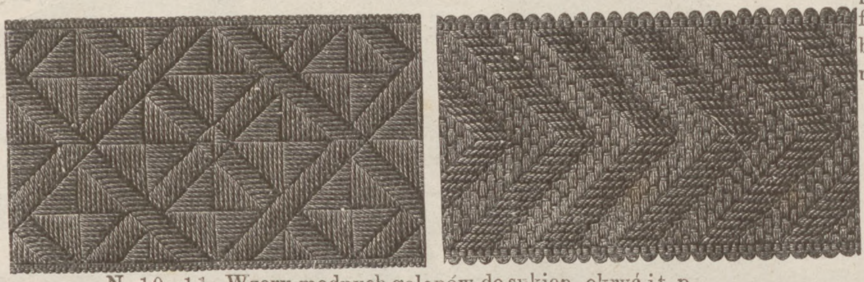


N. 9. Pasmanterya jedwabna ze szenelą.

N. 10—27. Ubrania na lekcye tańca dla dzieci tudzież spacerowe i wizytowe dla osób starszych.

N. 10—11. Sukienka formą princesse dla małych dziewczynek, zapinana z tyłu na guziczki.

Rycina 10 przedstawia plecy sukienki zdobnej przy wykroju staniczka i rękawków haftowaną falbaneczką i wszywką. Dół sukienki otaczają dwie drobne plisowane falbanki, po nad któremi przepasana fantazyjnie szarfa muślinowa 40 cent. szeroka, złożona lekko w fałdy i gdzieniegdzie przyczepiona do sukienki. Pończoszki ażurowe i trzewiczki wycięte. Na ryc. 11 podana sukienka z różowego batystu ma wzdłuż przodu wszyte fałdowanie z białego muślinu, którego brzegi przysłania wachlarzowo ułożona koronka, spuszczona nakształt berty na plecy stanika. Kokardy z wstążki różowej i takież trzewiczki.



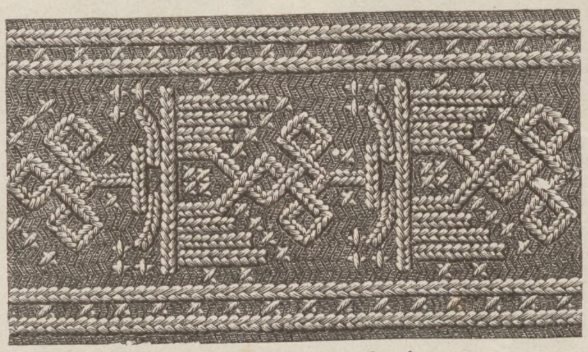
N. 10—11. Wzory modnych galonów do sukien, okryć i t. p.



N. 14. Guzik wypukły.



N. 15. Guzik płaski.



N. 12. Galon w jasny deseń na tle ciemnem.



N. 16. Guzik płaski.

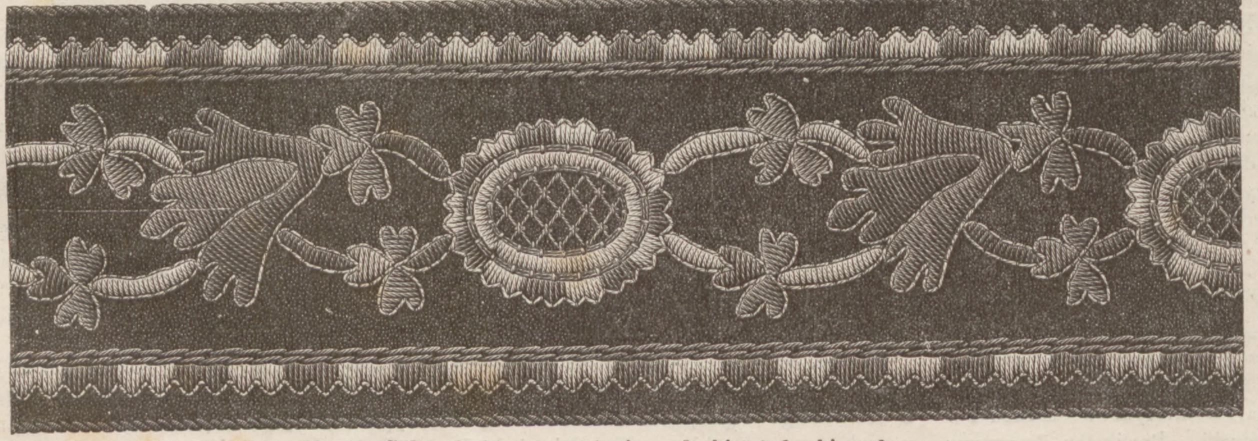


N. 17. Guzik wypukły.

N. 12 i 22. Sukienka formą princesse, dla dziewczynki.

Zapinana z przodu na guziki, lub sznurowana z tyłu, może być odszyta z każdego materyału wełnianego lub lekkiego; skromne przybranie stanowią dwie falbaneczki lub tylko gładka plisa z wypustką jak na ryc. 22. Wykrój szyi i pachy otacza falbanka.

N. 13 i 27. Ubranie dla chłopczyka, złożone z bluzy i krótkich majteczek.



N. 13. Galon haftowany ściegiem płaskim jedwabiem do cieniu. Do sukien, okryć i t. p.

Na ryc. 13 przedstawione jest z tyłu ubranie odszyte z cienkiego ciemno granatowego sukna; kołnierz marynarski przedłużony z przodu w wykład szalowy i pasek są z jaśniejszego materyału. Rycina 27 podaje z przodu ubranie wykończone z czarnego aksamitu, kołnierz zaś, pasek, objęcie i wypustki są z repsu jedwabnego.

N. 14. Sukienka z vêtement wyciętem pod szyją i z krótkiemi rękawkami.

Vêtement formą princesse, podpinane z tyłu kokardami, z przodu zapinające się skośno, przybrane białą batystową haftowaną falbaneczką 6 cent. szeroką i 4 cent. szerokiem plisowaniem, danem nie tylko u dołu, przy wykroju stanika i rękawków ale także wzdłuż skośnego zapięcia przodów. Sukienka zakończona plisowaną falbaną. Wszelki cienki wełniany materyał, batyst kolorowy lub muślin może być użyty na to ubranie.

N. 15. Suknia przybrana frendzlą.

Odszyta z materyi faille koloru jasno-lila zakończona jest u dołu plisowaniem 6 cent. szerokiem, po nad którem na przednim brycie i bocznych klinach naszyta jest falbana marszczona 14 cent. szeroka i bufa. Natunikę złożoną w trzy poprzeczne fałdy i zdobną sutą szarfą, potrzeba wziąść materyę skośno; jak to widać na rycinie 15 tunika z jednego boku zachodzi na baskinę stanika a z drugiego zapina się na haftki. Wytworne lecz kosztowne przybranie stanowi frendzla jedwabna 30 cent. szeroka Rękawy zakończone plisami i plisowaniem; na staniku zarzucona trójkątna chusteczka z krepy jedwabnej koloru sukni, oszyta frendzlą 13 cent. szeroką.

N. 16 i 5. Sukieneczka z vêtement bez rękawów, dla dziewczynki lat 4—7.

Wysuwająca się z pod vêtement sukienka z kolorowej materyi jedwabnej lub wełnianej, zdobna jest dwoma rzędami plisowania po 6 cent. szerokiego. Vêtement z ażurowego materyału w kolorze białym, piaskowym lub ivoire (kości słoniowej) da się przykroić podług formy załączonej

w N-rze 42 przy rycinie 32. Brzegi oszyte pliską i haftowanemi ząbkami 3 cent. szerokiemi. Szarfa 145 cent. długa a 16 szeroka z przodu przesunięta jest pod vêtement, z boków przeciąga się przez pozostawione na szwach rozporki i lekko przewiązuje z tyłu. Rycina 5 załącza wzór trochę odmiennego vêtement, odpowiedniego do takiej sukienki. Wykrój szyi dopełniony kołnierzykiem wykładanym lub marynarskim jak na ryc. 16.



N. 20. Odczesanie włosów od czoła, do ryc. 18—19.



N. 22. Szynion wiązany w węzły do uczesania ryc. 18 i 19.



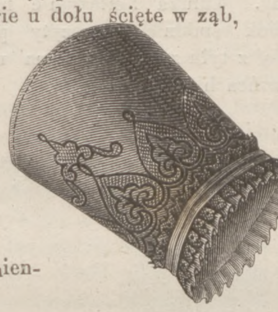
N. 21. Upięcie górnych pukli, do ryc. 18 i 19.



N. 18 i 19. Modne uczesanie wizytowe. Patrz ryc. 20 i 22.

N. 17. Sukienka dla chłopczyka lat 2—3. Krój dopasować podług ryc. 26—27 w N-rze 28.

Z tyłu zapinana sukieneczka ma przody krajane formą princesse a plecy dopełnione od stanu częścią fałdowaną. Przybranie stanowią dwa wzdłuż przodów naszyte skosy, po 7 cent. szerokie a 42 długie u dołu ścięte w ząb, złączone dwoma kokardami z niebieskiej wstążki. Szeroka szarfa związana z tyłu może być tego co suknia lub odmiennego koloru.



N. 23. Mankiet z czarnej materyi z aplikacyą. Deseń i opis na arkuszu z krojami Fig. 40.

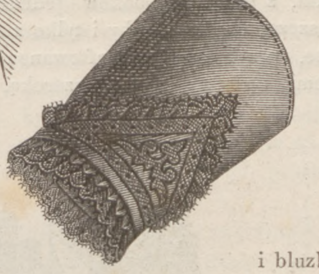
N. 18. Suknia z vêtement zdobnem kokardami.

Odpowiednia do wyjścia na ulicę lub na wizyty południowe dla pań starszych, wykończona z materyału wełnianego ma spódnicę zdobną plisami o wypustkach jedwabnych a vêtement formą princesse naszywane plisami lub pletnią ma dodane wzdłuż pleców modne przybranie z kokard. Na głowie kapotka koloru sukni, przybrana piórami i zwiazana końcami z grosbotowego tiulu.

N. 19. Suknia z wyciętym kirasem dla młodych panienek.

Na rycinie 19 widzimy suknię z muślinu białego lub kolorowego, zdobną wszywkami wywodzonemi na tiulu i haftowanemi falbankami. Dla większego efektu przy sukience białej można dodać kolorowe podwleczenie pod wszywki. Długi, obcisły stanik z kwadratowym wykrojem zapinany jest wzdłuż pleców na perłowe guziki. Włosy zebrane w siatkę z jedwabnej kolorowej plecionki.

N. 20. Suknia z wyciętym bluzkowym staniczkiem dla panienek. Krój w dodatku N. V, Fig. 10—22.

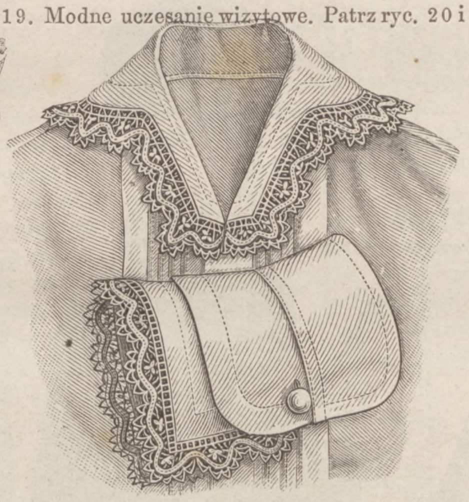


N. 24. Mankiet z czarnej materyi z aplikacyą. Deseń i opis na arkuszu Fig. 41.

Za materyał na to ubranie służy cienka tkanina wełniana gładka na suknię a w pasy jedwabne na tunikę i bluzkę. Tunika złożona z dwóch, skośno na siebie zachodzących części, jest z jednego boku podpięta fantazyjnie kokardą z wstążki 16 cent. szerokiej; u dołu oszyta plisą jedwabną i frendzlą. Podszewkę stanika dopasować trzeba podług kroju Fig. 19—22, wierzch zaś u góry przyszyty gładko u dołu przemarszczony jest kilka razy. Wykrój stanika i rękawki przybrane tiulową riuszą i koronką.



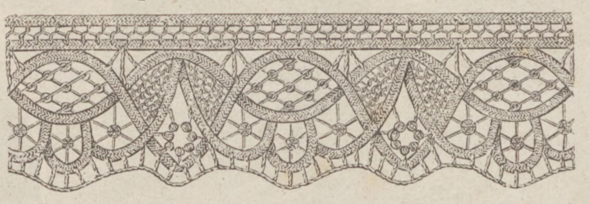
N. 25. Krawatka przepięta sprzączkami.



N. 27—28. Kołnierzyk i podwójny mankiet. Krój i opis w dodatku N. XVII Fig. 80 i 82.



N. 26. Krawatka zdobna naśladowaniem piór.



N. 29. Koronka z wązkiej tasiemeczki spajanej pajączkami.



N. 30. Suknia z vêtement zapiętem z boku. Przód do ryc. 37.



N. 32. Półeczki ozdobione nakrapianem malowaniem.



N. 31. Suknia z vêtement, tudzież model sznura z paziem do podnoszenia sukni, i wachlarzem.



N. 34. Kapelusz z wysoką główką.

N. 21. Suknia aksamitna zdobna pasmanteryą.

Stanowi wytworne ubranie wizytowe, którego efekt podnoszą kosztowne jedwabne pasmanterye zdobiące vêtement, tudzież frendzla jedwabna, sznury, kwasty i rozety szmuklerskie. Vêtement krajane formą princesse, z przodu spada prawie do dołu sukni, z tyłu otwarte jest aż do wcięcia stanu i lekko podpięte szeroką jedwabną szarfą. Kieszenie podłużne odznaczone są tylko przez naszycie pasmanteryą i dopełnione klapkami z materyi.

N. 23. Sukienka z vêtement.

Odszyta z błękitnego tybetu ma spódniczkę zakończoną wolantem 10 cent. szerokim naszytym dwoma pliskami z białego atłasu. Vêtement formą princesse, zapinane z tyłu na guziki, z przodu i z boków jednakowo długie, z tyłu przypuszczone w dwa zęby i tylko z lewego boku lekko podpięte, przybrane jest haftowanemi ząbkami 3 cent. szerokiemi i riuszą 4 cent. szeroką, przyciśniętą



N. 33. Korroeczka szydełkowa.



N. 36. Kapelusz z rondem podniesionem z przodu, dla młodych panienek.

środkiem białą atłasową pliseczką. Na vêtement dane naszycie z riuszy naśladujące szeleczki.

N. 24 i 6. Sukieneczka dla małych dziewczynek.

Uszyta z materyału wełnianego ciemno-granatowego koloru, ma przy 2 ½ cent. szerokich pliskach dodane wypustki jedwabne koloru cardinal; kołnierz, kieszonki i rękawki objęte takąż materyą. Przody przykrojone formą princesse, plecy i boczki z długą baskiną dopełnione fałdowaną spódniczką. Szarfa z materyi cardinal; kapelusik popielaty filcowy opasany granatową wstążką.



N. 35. Kapelusz z wygiętem rondkiem.

N. 25 i 36. Suknia z tuniką upiętą beduinowo.

Rycina 25 przedstawia plecy, rycina 36 przód sukni z czarn[illegible] alepiny. Tunika fantazyjnie na sukni upięta, odsłania lewy bok spódnicy, naszyty plisami zakończonemi frendzlą, z tyłu zaś udrapowana nakształt beduiny, zdobnej na końcach fałd kwastami.

(Dok. nast.)



N. 37. Suknia z vêtement zapiętem z boku. Patrz ryc. 30. Krój jak do ryc. 32—33 w N-rze 48.

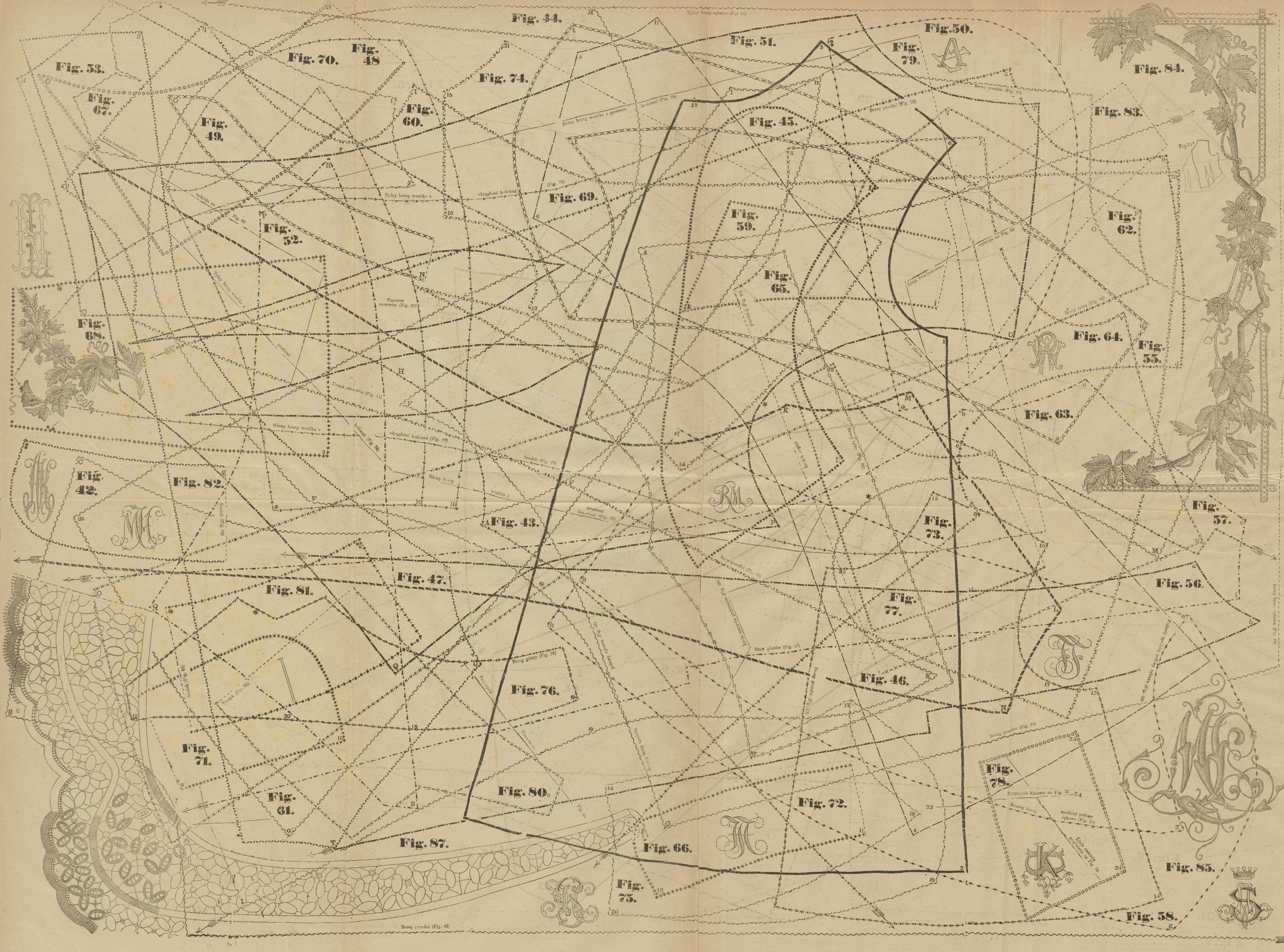
N. 28. Ubranie spacerowe z krótkim paletocikiem. Krój jak do ryc. 15 i 16 w N-rze 48.

N. 39. Długi paletot obłożony futrem i naszyty pletnią.

N. 40. Vêtement paletotowe dla panienek lat 8—10. Krój jak do ryc. 9 w N-rze 48.

N. 41. Długi paletocik dla dziewczynek. Przód na ryc. 9. w N-rze 48. Krój i opis na arkuszu N. V Fig. 19—24.

N. 42. Sukienka z fałdowaną spódniczką. Krój i opis na arkuszu N. VII.

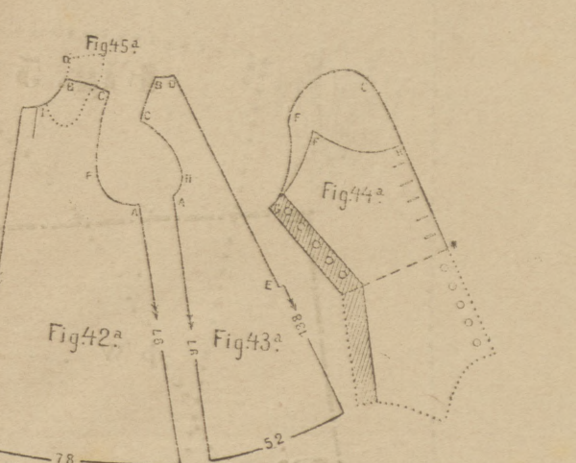


Tygodnik Mód

w Warszawie 1876 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 47 i 48.

N. IX. Długi płaszczyk z szerokiemi rękawami Ry. 29—30 w Nrze 48.
Fig. 42. Przód (A, B, C, F, I)
Fig. 43. Połowa pleców (A, B, C, D, E, H)
Fig. 44. Rękaw (C, F, G, H)
Fig. 45. Kołnierz (D, I)
Fig. 42a—45a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 42—45.



N. X. Długi półwcięty paletot. Ry. 1 w Nrze 47 i ry. 31 w Nrze 48.
Fig. 46. Przód (K, L, M, O, :, ✻, ✵)
Fig. 47. Połowa pleców (K, L, M, N)
Fig. 48. Połowa kołnierza (N, O)
Fig. 49. Połowa paska od kołnierzyka (N, O)
Fig. 50. Kieszeń (:, ✻)
Fig. 46a—50a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 46—50.

N. XI. Stanik i tunika do sukni. Ry. 2 w Nrze 47 i ry. 11 w Nrze 48.
Miara objętości przez połowę: 55 cent. w gorsie, 35 w pasie.
Fig. 51. Przód (P, Q, T, U, ✵)
Fig. 51a. Zmniejszony format przodu z oznaczeniem linją kropkowaną przodu do stanika skośnie zapinanego.
Fig. 52. Boczek (P, Q, R, S)
Fig. 53. Połowa pleców (R, S, T, U)
Fig. 54. Połowa tuniki (a. Wskazanie kroju przedniego bryta, b. krój bryta tylnego.)

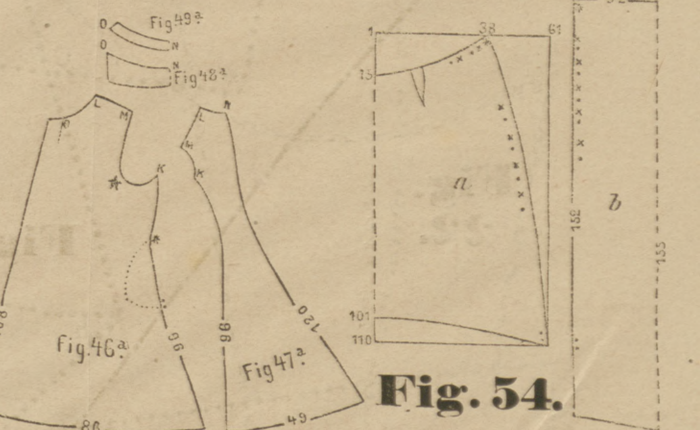
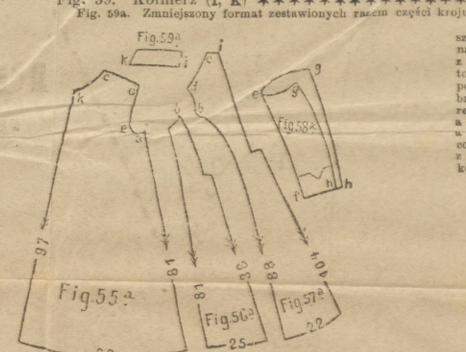


Fig. 54.

N. XII. Długi paletot z wcinanemi plecami dla panienki lat 12—14. Ry. 35—36 w Nrze 48.
Fig. 55. Przód (a, c, d, e, k)
Fig. 56. Boczek (a, b)
Fig. 57. Połowa pleców (b, c, d, i)
Fig. 58. Rękaw (e, f, g, h)
Fig. 59. Kołnierz (i, k)
Fig. 59a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 55—59.



Płaszczyk ten odszyty jest z waterprofu na flanelowej podszewce, z welours, u lub dubeltowego materjału. Odpowiednio do tego przybranie stanowią plisy repsowe, pletnia i t. p. a szarfy 44 cent. długie a 17 szerokie są z tego co obszycie materjału lub z jedwabnego repsu. zakończone frendzlą.

N. XIII. Vête ment formą princesse i szmizetka dla panienki lat 11—13; do sukni ry. 39—42 w Nrze 48.
Fig. 60. Przód vêtement (l, m, p, q, r)
Fig. 61. Boczek (l, m, n, o)
Fig. 62. Połowa pleców (n, o, p, q, ✻)
Fig. 63. Rękaw (r, s, t, u)
Fig. 64. Połowa przodu szmizetki (v, w, x, y)
Fig. 65. Połowa pleców (v, w, x, y)

Vêtement zapinane z tyłu może być zrobione podszyję jak na ry. 40, lub z modnym kwadratowym wykrojem, dopełnionym białą szmizetką a odznaczonym na formie cienkąlinją. Jedna częśc pleców w dolnej połowie spada zupełnie gładko, druga zaś od gwiazdki wzkazanej na Fig. 62 marszczy się na 8 cent. wzdłuż, obie części łączy się szwem od gwiazdy i urządzają do zapinania na guziki. — Wszystkie szwy odznaczają się przez wszycie wypustki ze sznureczkiem, z materji tego convêtement lub odmiennego koloru. Plisowanie, bufy i kokardy z wstążki lub materji służą do przybrania. Bluzkowa szmizetka może być z tiulu albo muślinu; na wzorze widzimy dwie odmiennego układu z bufek, wstawek i koronki.

N. XIV. Vêtement płaszczykowe dla dzieci lat 3—5. Ry. 37—38 w Nrze 48.
Fig. 66. Przód (1, 2, 5, 6, 7, 12)
Fig. 67. Górna połowa boczka (1, 3, :, ✻)
Fig. 68. Dolna połowa boczka (2, 4, :, ✻)
Fig. 69. Połowa pleców (3, 4, 5, 6, 11)
Fig. 70. Rękaw (7, 8, 9, 10)
Fig. 71. Połowa mankieta (8, 10)
Fig. 72. Połowa kołnierza (11, 12)

Vêtement przykrójone jest podług Fig. 66—72 z popielatego dubeltowego materjału; krająς trzeba uważac że boczki składają się z dwóch części, z których wyższa połowa (Fig. 67) zachodzi na niższą do dwukropka i gwiazdki. Plisowanie z popielatej materji 7½ cent. szerokie, podszyte jest brzegiem Fig. 67 wyciętym wzęby; objęcie dolnego brzega Fig. 68, kołnierzyka, mankietów, plisowanie 2 cent. szerokie przy kołnierzyku i u dołu rękawów, wązkie pliski, kokardy i szarfy są także z popielatej materji. Guziki z konchy perłowej.

N. XV. Kaftaniczek dla małego dziecka. Ry. 24—25 w Nrze 48.
Fig. 73. Przód (13, 14, 15, 16, 17, 22, 23, 24)
Fig. 74. Połowa pleców (13, 14, 15, 16, 21)
Fig. 75. Rękaw (17, 18, 19, 20)
Fig. 76. Mankiet (18, 20, ✻)
Fig. 77. Połowa marynarskiego kołnierza (21, 22)
Fig. 78. Kieszeń (23, 24)

Ładniutki kaftaniczek z miękiego czarnego velours objęty naokoło wypustką z jasnoniebieskiej materji. Takież obłożenie przy kołnierzu, rękawkach i kieszonkach, oprócz tego 3 cent. długie pateczki z materji przytwierdzane guziczkami z konchy stanowią przybranie. Wykłady na rękawkach w szerszym końcu (Fig. 76) są do 20 obłożone materją. —

N. XVI. Dwie woalki. Ry. 18 i 19 w Nrze 48.
Fig. 79. Połowa woalki z zaąkrąglonemi końcami z linją oznaczającą zakończenie proste.

Woalki z gładkiego lub deseniowego tiulu, przykrojone podług jednego z powyższych form, zakończone są wywodzeniem na tiulu którego próbkę ry. 7 załącza.

N. XVII. Kołnierzyk i dwojaki mankiet. Ry. 27—29 w Nrze 47.
Fig. 80. Połowa kołnierzyka
Fig. 81. Połowa prostej części mankieta (✻, :)
Fig. 82. Połowa okrągłej części mankieta (✻, :)

Kołnierzyk i mankiety z cienkiego płótna na podwójnej podszewce mają brzegi objęte skośną listewką 1—2 cent. szeroką która przyszywa się brzegiem odwraca na wierzch i stębnuje. Zakończenie stanowi koronka 3 cent. szeroka. Na ry. 29 widzimy próbkę ładnej cieniutkiej roboty koronkowej z wąziutką tasiemeczką; w dawniejszych Nrach znajdą czytelniczki różne próbki koronek lub szydełkowej roboty.

N. XVIII. Kołnierzyk z kolorowym haftem. Ry. 2 i 11 w Nrze 48. Opis przy ry. 2 w Nrze 47.
Fig. 83. Połowa kołnierzyka

Teka do papierów i postument do listów ozdobione haftem płaskim. Ry. 45—47 w Nrze 48.
Fig. 84. Połowa deseniu. Fig. 85. Cyfra do teki.
Fig. 86. Połowa deseniu do postumentu.

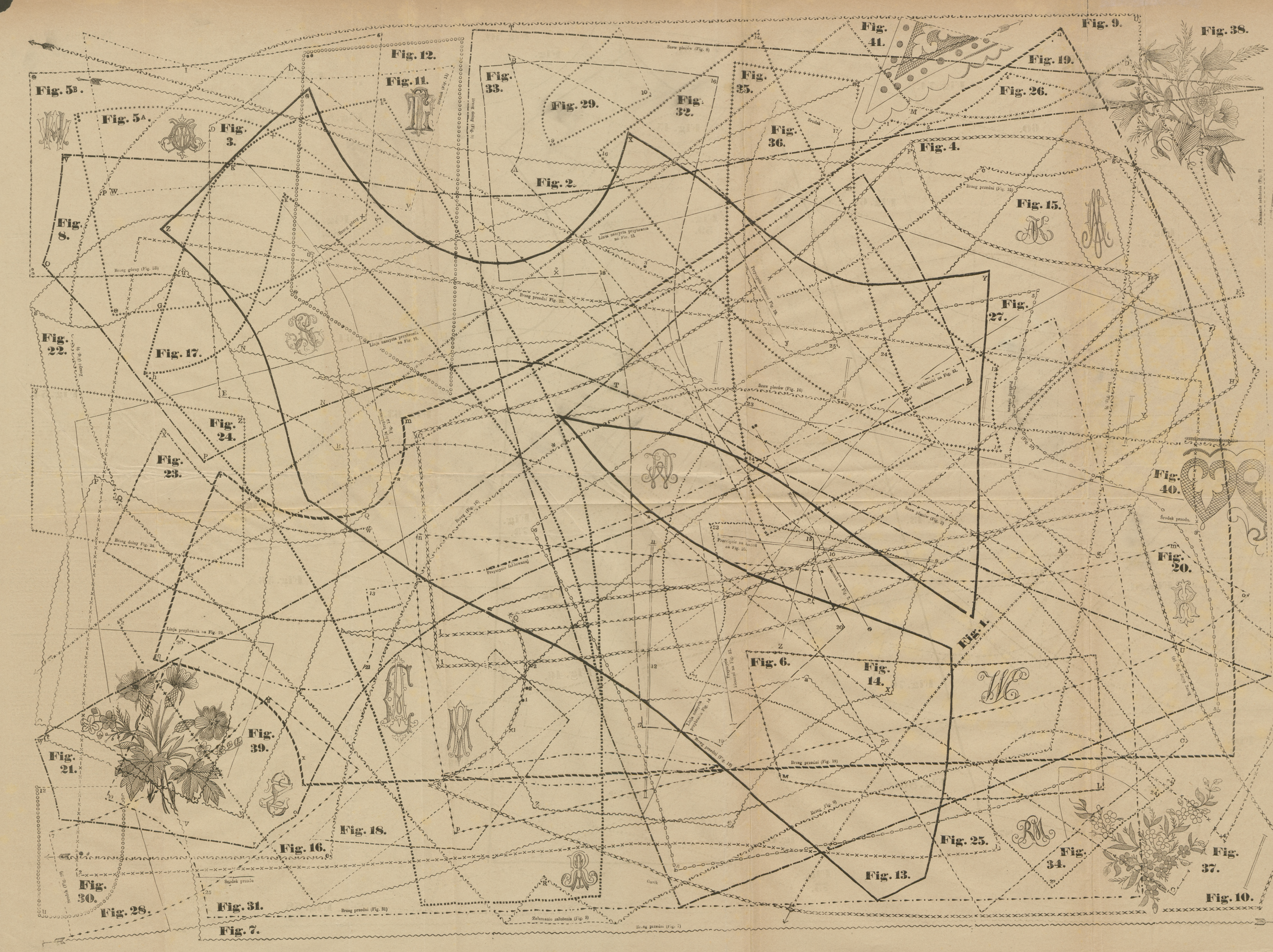
Teka do papierów. Ry. 45—46 w Nrze 48. Liczy 24 cent. szerokości a 36 wysokości; zwierzchnia strona pokryta świecącą skórą ozdobiona haftem (Fig. 84) ściegiem płaskim i sznureczkowym, kordonkiem brązowym do cieniu. Monogram wyznaczony kordonkiem, na inne ściegi użyty sznureczek złoty. Rycina 46 wskazuje praktyczne urządzenie wewnętrzne z kieszonkami z mory jedwabnej na papier różnych rozmiarów.

Wpostumencie ry. 47 pomieścić można listy, koperty, notatki i t. p. jest on 20 cent. wysoki a 24 szerski, ozdobiony haftem którego połowę podaje Fig. 86. —

Dwa fartuszki. Ry. 5—6 w Nrze 48.
Fig. 87. Deseń koronki irlandzkiej do fartuszka ry. 5.

Fartuszek czarny atłasowy z irlandzką koronką. Przy zaokrągleniu dolnem liczy 55 cent., w górze przy brzegu trochę wciętym 22, a 54 cent. sługości. Fig. 87 załącza połowę koronkowej roboty z czarnej tasiemeczki gładkiej i medaljonowej. Przyozdobienia kieszonek łatwo dopełnić podług wzoru. Frendzla jedwabna 8 cent. szeroka, gruby sznur jedwabny i kwasty.

Fartuszek z czarnej materji z wolantem. Gustowne przybranie fartuszka z jedwabnego repsu składa się z dwóch po 8 cent. szerokich falbanek wyciętych w ząbki z nagłowkiem 2 cent. szerokim z atłasową wypustką. Pasmanterja 5 cent. szeroka dopełnia połączenia dwoch części.



Tygodnik Mód

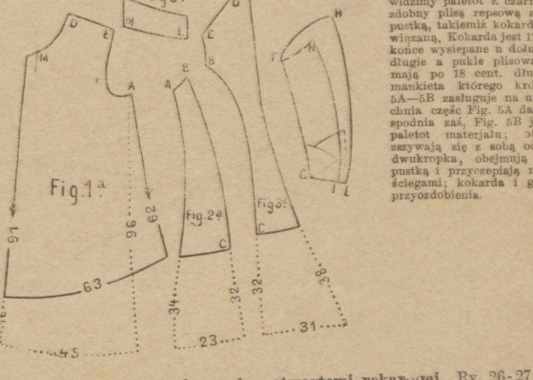
w Warszawie 1876 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 47 i 48.

N. I. Krótki paletot. Ry. 15 i 16 w Nrze 48.
Fig. 1. Przód (A, D, E, F, M) ×·×·×·×·×·×·×·×·×·×·×·×·×
Fig. 2. Boczek (A, B, C)
Fig. 3. Połowa pleców (B, C, D, E, L)
Fig. 4. Rękaw (F, G, H, I) ✕✕✕✕✕✕✕✕✕✕
Fig. 5A. Zwierzchnia część mankieta (G, K, :, ✲, •, +) ✱✱✱✱✱
Fig. 5B. Dolna połowa mankieta (I, K, :, ✲, •, +)
Fig. 6. Kołnierz (L, M)

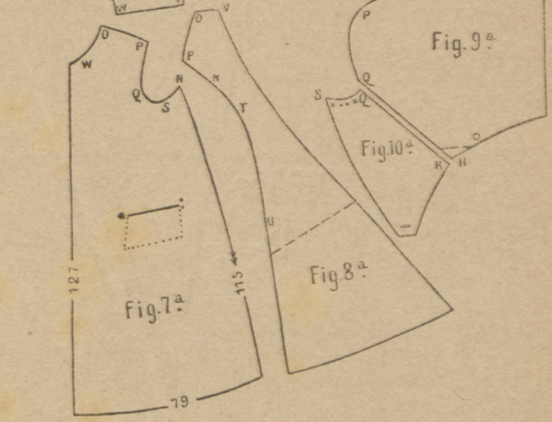
Fig. 1a—6a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 1—6 z dodaniem linji kropkowanej oznaczającej krój długiego paletota ry. 28 w Nrze 48 i ry. 39 w Nrze 47.

Rycina 16 przedstawia ciemno granatowy paletocik oszyty z przodu, u dołu, przy mankietach i kołnierzu torsadą 7 cent. szeroką, plecioną z wązkich tasiemeczek. Na ry. 15 widzimy paletot z czarnego materjału zdobny plisą repsową z atłasową wypustką, takiemiż kokardami i frendzlą wiązaną. Kokarda jest 17 cent. szeroka, końce wysiepane u dołu są po 24 cent. długie a pukle plisowane w fałdki mają po 18 cent. długości. Układ mankieta którego krój podaje Fig. 5A—5B zasługuje na uwagę; zwierzchnia część Fig. 5A dana jest z repsu spodnia zaś, Fig. 5B jest z tego co paletot materjału; obydwie części zszywają się z sobą od gwiazdki do dwukropka, obejmują atłasową wypustką i przyczepiają nie widocznemi ściegami; kokarda i guzik dopełnia przyozdobienia.



N. II. Długi płaszczyk z otwartemi rękawami. Ry. 26-27 w Nrze 48.
Fig. 7. Przód (N, O, P, Q, S, W, ✲, :)
Fig. 8. Plecy (N, O, P, I, U, W) 1 założenie formy
Fig. 9. Zwierzchnia połowa rękawa (P, Q, R, T, U) 1 założenie formy
Fig. 10. Spodnia połowa rękawa (Q, R, S, + 1 i • 1 do + 2 i • 2) ✕
Fig. 11. Połowa kołnierza (V, W) —•—•—•—•—•—•—
Fig. 12. Kieszonka (✲, :) OOOOOOOOOOOOOOOOOOOO

Fig. 7a—12a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig 7—12.

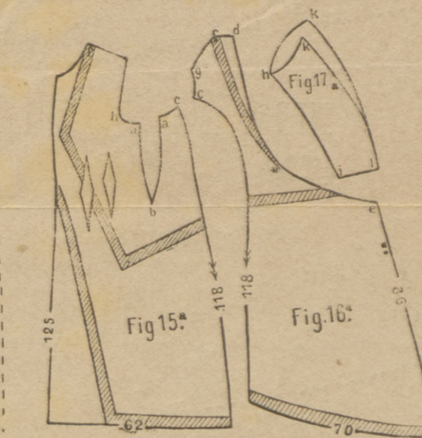


N. III. Kamizelka bez rękawów. Ry. 13 i 14 w Nrze 48.
Miara objętości przez połowę: 51 cent. w górze, 36 w pasie.
Fig. 13. Przód (X, Y, Z, ✲)
Fig. 14. Połowa pleców (X, Y, Z, ✲)

N. IV. Vêtement z kaftanikowem przybraniem, do sukni Ry. 32 i 33 w Nrze 48.
Miara objętości przez połowę: 53 cent. w górze, 33 w pasie.
Fig. 15. Przód (a, b, c, f, g, h)
Fig. 16. Połowa pleców (c, d, e, f, g, ✲, :)
Fig. 17. Rękaw (i, i, k, l)
Fig. 18. Połowa kieszonki

Fig. 15a—17a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 15—17.

Gładki i deseniowy wyrób wełniany, ciemno fijołkowego koloru stanowi materjał na to ubranie. Powłóczysta spódnica przybrana dwoma wolantami po 12 cent. szerokiemi, z których wyższy deseniowy, zakończony jest nagłówkiem. Na ry. 32 suknię zdobi plisowana riusza 15 cent. szeroka. Vêtement formą princesse, którego przybranie i upięcie wskazują ryciny 32 i 33 kraje się podług Fig. 15—18; na Fig. 15 oznaczyliśmy linją naszyci[a] przybrania naśladujące k[af]tanik. Plecy, Fig. 16 od d—e a ztąd aż do doln[ego] brzega zszyte i na szwie [...] sując gwiazdką do dwukrop[ka] podpięte w poprzeczne fał[dy] na 16 cent. powyżej i poni[żej] litery e. Złożenie fałd sczep[ia] się z każdej strony na 21 c[ent.] odstępu od szwa środkow[ego] w fałdę 7 cent. głęboką [jak] to ry. 32 wskazuje. Szer[okość] pleców zwężona jest z [...] złożenie kontrafałdy [...] pod przybraniem na śr[odku] pleców, którą dopasow[uje] się na osobie. Frenz[la] plisy 6 cent. szerokie [ko]kardy z wstążki 4—5 ce[nt.] szerokiej dopełniają pr[zy]brania. —



N. V. Długi paletot dla dziewczynki lat 9—11. Ry. 9 w Nrze 47 i 41 w Nrze 48. (Opis patrz niżej).
Fig. 19. Przód (m, n, q, r, s, x, y)
Fig. 20. Boczek (m, n, o, p, z)
Fig. 21. Połowa pleców (o, p, q, r, w)
Fig. 22. Rękaw (s, t, u, v)
Fig. 23. Połowa kołnierzyka (w, x)
Fig. 24. Kieszonka (y, z)

N. VI. Paletot dla chłopka lat 8—10. Ry. 8 w Nrze 48. (Opis niż[ej])
Fig. 25. Przód (1, 2, 3, 4, 8, 9, 10, 11, 12) —×—×—×—×—×—
Fig. 26. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, 5, 7) +•+•+•+•+•+•+
Fig. 27. Rękaw (5, 6) O—O—O—O—O—O—O—O—O—O
Fig. 28. Połowa kołnierza (7, 8)
Fig. 29. Połowa patki bocznej (9, 10) ✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱
Fig. 30. Połowa klapki od kieszeni (11, 12) OOOOOOOOOOOO

N. VII. Sukienka z fałdowaną spódniczką, dla dziewczy[nki] lat 7—9. Ry. 33-34 w Nrze 48 i ry. 43 w Nrze 47.
Fig. 31. Przód (13, 14, 19, 20, 21, 24)
Fig. 32. Boczek (13, 14, 15, 16) ++++++++++++
Fig. 33. Połowa pleców (15, 16, 17, 18, 19, 20, [...] i • 3)
Fig. 34. Rękaw (21, 22, 23, 24)
Fig. 35. Mankiet (22, 24 ✲) ++++++++++++
Fig. 36. Połowa kołnierza (17, 25

Ryciny 33 i 34 w Nrze 48 przedstawiają sukienkę z ciemno gr[...] wego materjału wełnianego, ozdobioną oryginalnie dwoma i trzema rz[ędami] guzików z ciemnej konchy perłowej; z przodu rząd srodkowy służy [do za]pinania sukienki w całej długości. Skoro przody, boczki i plecy (na kt[órych] założona jest fałda podług Fig. 33) zszyte są z sobą, do przodów przy[szywa] się fałdowana spódniczka, 114 cent. szeroka, 41 długa przy górnym b[rzegu] złożona w kontrafałdy, wszyta w wązki paseczek i podwrąbiona szyrtyn[gową] podszewką poddaną pod staniczek. Linje stębnówki zdobią dolny [brzeg] sukienki i mankiety; kokardy i szarfy z jedwabnego repsu.. Rycina 43 w [Nrze] 47 przedstawia sukienkę zdobną pletnią; plecy ukrajane są bez fałdow[anej] baskiny; fałdowana część spódnicy zszyta jest wprost z brzegiem ple[ców] szew zasłonięty szarfą. —

N. VIII. Poduszeczka na toaletę zdobna haftem. Op[is] i rycinę podamy w następ: Nrze.
Fig. 37. Czwarta część deseniu.

Taboret haftowany. Ry. 3 i 4 w Nrze 48.
Fig. 38 i 39. Dwa bukiety.

Odrobiony z drzewa czarno lakierowanego z bogatem złoceniem, 45 cen[t.] wysoki taboret, ma sześcienne siedzenie miękko wysłane 47 cent. średni[cy] liczące. Sześć spuszczonych lambrekin ma po 20 cent. szerokości w gór[ze] a po 16 cent. środkowej długości. Przyozdobienie stanowią piękne bukiet[y] haftowane kolorowemi jedwabiami na czarnym atłasie ściegiem płaskim. Ry. 4 podaje w naturalnej wielkości wzór jednego bukietu.

Dwa haftowane mankiety. Ry. 23 i 24 w Nrze 47.
Fig. 40 i 41. Dwa desenie haftu.

Obydwa podane wzory są czarnego repsu na sztywnej podszewce. Fig. 40 i 41 za[zna]czają dwie połowy deseni, które można odrobić z podłożeniem aksamitu lub tiulu. Wąz[kie] pliski, czarna koronka, plisowanie i czarne jedwabne ząbki stanowią przyozdobienie.

Długi paletot dla dziewczynki lat 9—11. Rycina 9 w Nrze 48 i ry. [...] w Nrze 47. Krój patrz Nr. V.

Uszyty z czarnego dubeltowego materjału i objęty futrem ma na wciętych ple[cach] i puszczonych przodach dane naszycie z pletni $2^1/_2$ cent. szerokiej przeprowadzone [przez] ramiona i zchodzące się na środku pleców. Ry. 41 w Nrze 47 przedstawia paletocik z p[...] latego materjału, naszyty ciemniejszą taśmą i przybrany popielatemi guzikami.

Paletot dla chłopca lat 8—10. Ry 8 w Nrze 48. Krój patrz Nr. V[I.]

Zapinany dwoma rzędami guzików, ma dodaną na plecach klapkę. Długie prze[cięcia] do zakładania rąk zasłonięte przystębnowaną klapką (Fig. 29) i otwór kieszonki podł[ożone] są od spodu kawałkami materjału. Wykłady u rękawów są z prostego, 8 cent. szer[okiego] kawałka materjału. Do objęcia brzegów służy czarna taśma 2 cent. szeroka. —